Nr. 27. Warszawa, dnia 4 Lipca (22 Czerwca) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NA SZEŚĆ LAT.

Prasa trzech państw, związanych z sobą przymierzem, odegrała w ostatnich tygodniach rolę bateryi, osłaniającej swoimi strzałami saperów, sypiących wały i robiących podkopy. Walczyła bowiem zawzięcie ze wszystkimi, którzy wątpili o istnieniu potrójnego sojuszu i twierdziła stanowczo, że on pozostaje mocno zaciśnięty w swych węzłach. Tymczasem widzimy z objawów niewątpliwych, że odnowienie kontraktu — przynajmniej między Włochami a Niemcami — nastąpiło dopiero teraz. Jednocześnie bowiem Rudini w parlamencie, a cesarz Wilhelm w przemowie do dyrektora hamburskiej żeglugi morskiej obwieścili światu, że przymierze nadal trwać będzie — przez lat sześć. Na tyleż lat ma być zapewniony pokój. Zainteresowane w nim gazety wydały okrzyk radosny i dziękczynny. Nie dziwimy się temu zachwytowi, bo wojna jest widmem strasznem, a bodaj chwila dobrego złudzenia w trwodze — ulgą znaczną. Zresztą nawet w obecnych stosunkach Europy są jednostki i grupy ludzkie, które nie pragną żadnej odmiany i chętnie zatamowałyby bieg wypadków na cały czas swego życia. Ale czy nawet tego rodzaju spółki w celach utrzymania pokoju, jak niemiecko-austryacko-włoska, przedstawiają siłę tak wielką, że do nich nagiąć się muszą dzieje Europy? Czy którykolwiek z uczestników tego przymierza może istotnie poręczyć, że przez lat sześć nie wybuchną żadne starcia międzynarodowe? Doprawdy musiałby być bardzo naiwnym ten, ktoby taki werdykt szczerze dla przyszłości wydał. Nie przeczymy, że trzy mocarstwa, związane z sobą sojuszem, tworzą ogromną potęgę, zapomocą której mogą do pewnego stopnia wpływać rozstrzygająco na losy Europy; nie przeczymy również, że pokój i wojna zależą w niejakiej mierze od układów dyplomatycznych; ale czy to wszystko już wyczerpuje przyczyny i prawa, które rządzą rozwojem ludzkości? Gdyby tak było, przez lat sześć świat nie powinienby ani razu uczuć obawy; gdyby ten środek był niezawodny, możnaby nawet raz na zawsze utrwalić wieczny pokój. Bo jeżeli trzy wspomniane państwa pragną i ubezpieczają go w zupełności, to czemuż nie zawarły swego kontraktu na lat 20, 30, na tyle, ile czasu prawdopodobnie obejmie życie sojuszników? Instytucyi tak cennej, tak pożądanej nie należało skąpić narodom i zaprowadzać ją na sześciolecie. Co znaczy ten krótki okres szczęścia?

Z po za wszystkich wiwatów i radosnych okrzyków wygląda nędza tej politycznej lepianki, a jej chwalcy nie dostrzegają, dokąd ich zawodzi bezmyślność. Pokój świata, utrzymanie zgody międzynarodowej, otoczenie pracy i życia milionów skrzydłami straży — to nie jest przedsiębiorstwo, mające na celu wydobywanie torfu lub siania łubinu. Jeżeli w takich zamiarach zawiązuje się spółka sześcioletnia, rozumiemy ją, bo ona w oznaczonym przeciągu czasu wykopawszy torf lub zebrawszy łubin, kończy swoje zadanie. Ale pokój i wojna — to całkiem inne sprawy. Z dwojga jedno: albo obecne stosunki Europy są wytworami rozumu i słuszności — w takim razie należy ślubować obronę ich ciągłą i wieczną; albo też są nienaturalne, szkodliwe i krzywdzące — a w takim razie trzeba je naprawić przed zawarciem jakiegokolwiek przymierza. Tymczasem dyplomacya trzech mocarstw, nie przyznając ani jednego, ani drugiego faktu, a pośrednio stwierdzając oba, kuje sojuszowe obręcze, które mają zabezpieczyć Europę, niby starą beczkę, od rozsypania się przez lat trzy lub sześć. Jest to partactwo polityczne z pozorami wielkiej mądrości, jest to nieudolność, która powiada: budować nie umiem, więc łatam.

Czciciele pokoju odeprzeć gotowi takie rozumowanie argumentem: dobre i sześć lat, kiedy na dłużej zaasekurować się nie można. Pomijając zaznaczoną wyżej wątpliwość sprawdzenia się rachuby, zważyć trzeba, że nawet ten okres, któremu ma przyświecać „niezmącone słońce,“ ani o włos nie zmniejszy narodom ciężaru pogotowia wojennego, owszem powiększać go będzie. Niemcy jeszcze pomnożą swą armię o parę dywizyj, co uczyni również Francya itd. Po każdem zaś nowem podkręceniu śruby wojskowej strach sparaliżuje wszystkie nerwy życia Europy. Gdzież więc ona będzie miała pokój i jego dobrodziejstwa? Będzie miała tylko to, co dotąd — dręczącą niepewność.

Utrwalenie takiego stanu nie może być chyba zaliczone ani do wielkich łask, ani do wielkich pomysłów. Usprawiedliwimy twórców i stróżów tego „zbrojnego pokoju,“ gdy nam oświadczą, że do niczego lepszego nie są zdolni. Ale niech nie wmawiają w nas, że zdejmują z piersi Europy dręczącą ją zmorę, że otwierają nową epokę, wolną od niebezpieczeństw i obaw, bo to jest czcza przechwałka. Sześcioletni pokój nie rozwiąże zagadnień politycznych, tylko je przytłumi, odwlecze i utrudni pracę przyszłości. Co najwyżej pozwoli sojusznikom zrzucić z siebie na czas jakiś obowiązek i konieczność spłacenia długów

chwili bieżącej. Gdyby pomiędzy nimi był dość zdolny i silny do podjęcia zadań swego czasu, z pewnością nie myślałby o przykładaniu papierków na rany, lecz je radykalnie wygoił; ponieważ nie ma takiego, więc trzech przygotowało wspólny plasterek.

W odnowionym przeto kontrakcie spółki nie możemy uznać ani zażegnania wojny na lat sześć, ani nawet — gdyby ten cel został osiągnięty — jakiegoś doniosłego aktu polityki. Jest to robota dyplomatyczna na krótki użytek wypróbowanego, ale wogóle lichego gatunku. Zdradza ona zupełną niemoc umysłów w niej przewodniczących, opieczętowywa bankructwo polityki europejskiej, niczego nie poprawia, niczego nie ubezpiecza i niczego dobrego nie daje.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

XII.

Wybór Gobleta do senatu i warcholstwo radykalne.— d'Haussonville. — l'Union de la France chrétienne. — Interpelacya z powodu sprawy Turpina.— Cenzura.

Francuscy radykaliści świętowali uroczyście w miesiącu ubiegłym zwycięztwo jednego ze swych towarzyszów, Gobleta, byłego prezesa ministrów, który po dwukrotnej porażce przy wyborach do Izby nareszcie dostał się przynajmniej do senatu. Cały szarlatanizm polityki tej partyi wystąpił tu jaskrawo na jaw: senat ma więc w oczach największych swych wrogów dobre strony, zwłaszcza gdy oni mogą rozsiąść się na miękkich jego siedzeniach. Pelletan wylewał przy uczcie, urządzonej na cześć Gobleta, gorące łzy uszczęśliwionej przyjaźni, Lockroy pił za jedność głosowania powszechnego (do Izby) i ograniczonego (do senatu), sam zaś tryumfator miał przemowę, która wprawiła w rozczulenie, niepozbawione zresztą ironicznej żyłki, poważny *Temps* i skoczniejsze przybytki prasy mieszczańskiej. Krzesło kuralne jest najlepszym odczynnikiem dla wytarcia barwy czerwonej, która blednie, niknie i zamienia się na coś niewyraźnie szarego. Nasz radykalista jest, rozumie się, za polityką „spraw bieżących." „Polityka zasad" bardzo dobrze brzmi przed głównymi wyborami i obok tytułu „radicaux-socialistes" wywiera efekt nieprzezwyciężony: wówczas można śmiało prawić i o rewizyi konstytucyi i o podatku postępowym i o oddzieleniu kościoła od państwa, ale dzisiaj, gdy trzeba się gryźć z tymi podłymi oportunistami o każdą prefekturę, o każde krzesło w Izbie lub senacie, opłacane wcale nieźle, bo po 25 fr. dziennie, trudno walkę doprowadzać do zaognienia. Ręka rękę myje. Dziś umiarkowani zrobili ustępstwo skrajnym, jutro skrajni wywzajemnią się umiarkowanym i tym sposobem polityka staje się rzemiosłem nader zyskownem, ale pod warunkiem, iż kwestye zasadnicze spoczywać będą w objęciach portfelów. Radykaliści, jakkolwiek są przedstawicielami drobnego mieszczaństwa, od dawna stracili maniacką uczciwość sklepikarzów — zresztą i śród tych ostatnich żyje już ona więcej w przysłowiu. Handel, zwłaszcza drobny, może dzisiaj istnieć tylko dzięki systematycznemu oszustwu, ale jeżeli jakiś „pauvre diable," odrwiwający swych kandydatów na łucie pieprzu lub na funcie rodzynek, wzbudza tylko litość nieświadomej ofiary konkurencyi społecznej, to polityk, który przed wyborami patrzy mury najbardziej wygórowanemi obietnicami, a wnet potem myśli jedynie o tem, gdzieby się sprzedać jaknajdrożej, wzbudza tylko wstręt głęboki. Wdzięczność uszczęśliwionego pachołka, który się nareszcie dochrapał smacznego kąska, zachodzi tak daleko, iż Goblet nie powstydził się twierdzić, że reformy społeczne zajęły zbyt obszerne miejsce w programach obecnej Izby, a projekt ubezpieczenia robotników, przedstawiony przez Constansa, wydaje mu się niewykonalny.

To godzenie się z faktami, warcholstwo i ugody na tym punkcie wyrastające, nie mają w polityce radykalnej żadnych granic. Nie było jeszcze reformy poważniejszej, dla którejby senat nie był grobem lub przynajmniej łożem prokrustowem. Jeżeli jakimś cudem, wymęczona i obcięta, dzięki staraniom partyjnym wydarta zostaje Izbie, to niechybnie ginie w senacie. Zważywszy, iż wybory doń nie są oparte na powszechnem głosowaniu, lecz przeciwnie odbywają się w ten sposób, że otwierają dostęp tylko żywiołom najwsteczniejszym (wyborcami w każdym departamencie są jego deputowani, rajcowie municypalni i generalni), zrozumiemy dopiero, jak okropnym dziwolągiem jest senat w Rzeczpospolitej, wrzekomo demokratycznej. I wogóle konstytucya francuska ułożona została przez monarchistów, którzy nie mogąc, dzięki niesnaskom wewnętrznym, odbudować królestwa lub cesarstwa, zgodzili się na ustrój obecny, przykroiwszy go uprzednio w sposób dogodny dla swych celów partyjnych. Temu właśnie zawdzięcza swe istnienie senat francuski. Tymczasem o rewizyi konstytucyi, o zniesieniu senatu radykaliści jakoś milczą—z wyjątkiem okresów przedwyborczych — przeciwnie, pod cieniem tej konstytucyi można bardzo wygodnie urządzać swe interesy, co się zaś tyczy senatu, to tak samo, jak każdy prusak nosi w sercu lokaja, każdy francuz, nie wyjmując radykalisty, wzdycha w głębi ducha do czerwonej wstążeczki i do lamowanego fraka. Zepsuciu temu podlegają w równym stopniu obie grupy: skrajna lewica, której przewodnikiem jest Clémenceau i lewica radykalna, którą przywodzi Floquet. Obie zawierają razem koło 200 członków, działają zazwyczaj wspólnie i pod względem programu w niczem prawie się nie różnią od siebie. Odłamy te zgrupowane są raczej koło dwu odrębnych osób, niż koło dwu różnych idei. Gdy rządy opierają się na współzawodnictwie kilku partyj, które wzajemnie czynią sobie ustępstwa, wówczas o przeprowadzeniu jakiejś poważnej reformy mowy być nie może: trzeba tylko załatwiać codzienne, bieżące interesy. Co najwyżej można, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, osiągnąć jakąś drobną zmianę. Na to właśnie liczy Floquet, przyjmując od czasu do czasu zadanie utworzenia gabinetu. Przed trzema laty stanął on na czele rządu, który opierał się w równym stopniu na radykalistach i umiarkowanych i dzięki wewnętrznym układom niweczył własną swą działalność: musiał ustąpić, nic prawie nie zrobiwszy. Dla polityki takiej Clémenceau jest nieodpowiedni, po pierwsze, gdyż jest zbyt skompromitowany swą przeszłością „nieprzejednaną," a powtóre dlatego, ponieważ czuje, iż tylko wyczekująco stanowisko dzisiejsze może mu wyjednać należytą powagę i wzięcie, niezbędne

---

KNUT HAMSON.

GŁÓD.

Pomimo to, że opanowany w tej chwili przez dziwne i niewidzialne wpływy, sam sobie obcym się wydawałem, żaden z faktów ubocznych nie uszedł mojej uwadze. Duży, brunatny pies biegł ulicą, napoprzek, w kierunku do Tivoli; na szyi miał wązką obrożę z nowego srebra. Dalej, w jakimś domu otworzono na drugiem piętrze okno; służąca wychyliła się i zaczęła czyścić szyby nazewnątrz. Nic nie uszło mojej baczności i umysł mój był jasny, trzeźwy; wszystkie wrażenia spływały na mózg mój z taką przejrzystą jasnością, jak gdyby kto był rozlał nade mną wielką strugę światła. Obie panie miały przy kapeluszach błękitne skrzydełka i szkockie jedwabne wstążeczki na szyi. Uważałem je za siostry.

Skręciły i zatrzymały się następnie przed składem nut Eislera, gdzie wszczęły rozmowę. I ja stanąłem. Potem wróciły, poszły tą samą drogą, którą poprzednio przybyły, ominęły mnie i skierowały się prosto na plac św. Olafa. Przez cały czas dotrzymywałem im kroku, o ile się dało. Raz obróciły się i rzuciły na mnie spojrzenie napół bojaźliwe, napół ciekawe; nie dostrzegłem ani gniewu w ich minach, ani brwi ściągniętych. Postanowiłem nie narzucać się im więcej, ale śledzić je tylko oczami, póki gdzieś nie znikną.

Przed liczbą 2, znaczącą wielki czteropiętrowy dom, odwróciły się raz jeszcze, poczem weszły do bramy. Oparłem się o latarnię gazową obok wodotrysku i nastawiłem ucha, aby słyszeć odgłos ich stąpań po schodach. Odchodzę od latarni i przyglądam się kamienicy. Nagle dzieje się coś dziwnego: na górze poruszają się firanki, okno się otwiera, wychyla się główka i dwoje bystrych ocząt spoczywa na mojej twarzy. „Ylajali!" — wymawiam półgłosem i czuję, jak kraśnieję. Dlaczego nie woła o pomoc, dlaczego nie rzuca na mnie doniczki, czemu nie zsyła kogoś, ażeby mnie odpędzić? Patrzymy sobie w oczy, ani drgnąwszy nawet; to trwa z minutę; myśli biegają między oknem a ulicą, krzyżują się, lecz nic mówimy ani słowa. Odwraca się — zadrżałem! Uczułem, jakby pchnięcie w zmysły; widzę ramiona, plecy, które nikną w pokoju. To powolne oddalanie się od okna, wyraz ruchu ramion, to niby ukłon mnie posłany: krew moja odczuwa delikatność podrażnienia, nagle robi mi się dziwnie wesoło na duszy. Zaczynam schodzić w dół ulicy.

Nie śmiałem obejrzeć się, a nie wiedziałem, czy przystąpiła raz jeszcze do okna; im więcej zastanawiam się nad tem pytaniem, tem bardziej staję się niespokojny, zirytowany. Oczywiście stała w tej chwili w oknie i dokładnie śledziła za każdym moim ruchem; nie mogłem znieść świadomości, że ktoś obserwuje mnie z tyłu. O ile mogłem, zebrałem siły i szedłem dalej. Nogi pode mną drżały, chód stawał się chwiejny, dlatego właśnie, że starałem się chodzić ładnie. Chcąc udawać spokój i obojętność, rzucałem rękami, raz plunąłem, głowę odrzuciłem w tył — na nic! Na plecach czułem siłę dwojga prześladujących oczu; zimny dreszcz przebiegł po mojem ciele. Nareszcie przez boczną dróżynkę uciekłem na ulicę Pile, ażeby odebrać ołówek.

Trudności w tym względzie nie miałem żadnych. Człowiek, który poprzednio przyjął kamizelkę, sam mi ją teraz przyniósł, prosząc, ażebym własnoręcznie kieszenie obszukał; znalazłem parę kwitów zastawnych, schowałem je, dziękując grzecznemu człowiekowi za jego uprzejmość. Podobał mi się coraz więcej i nagle zachciało mi się koniecznie wywrzeć i na nim miłe wrażenie. Postąpiłem o krok ku drzwiom, poczem obróciłem się, jak gdybym był czegoś zapomniał; zdawało mi się, że winienem dać mu jakieś wyjaśnienie; ażeby zwrócić jego uwagę, zacząłem cichutko nucić. Następnie wziąłem ołówek do ręki i podniosłem go ponad głowę.

— Ani bym myślał chodzić tak daleko po pierwszy lepszy ołówek — rzekłem — lecz ten, to zupełnie co innego. Ten oto kawałek drzewa, mimo swój wygląd niepoka-

dla przeprowadzenia reform, gdyby przyszłe wybory zapewniły mu kiedykolwiek w Izbie większość radykalną. Przyjmie on władzę tylko wówczas, gdy gabinet przezeń utworzony będzie miał odpowiednią podstawę, a program — widoki urzeczywistnienia. Zanim wszakże to nastąpi, radykaliści przedstawiać będą i przedstawiają tylko zgraję warchołów i karyerowiczów, nie lepszych od swych kolegów ze środka, a nawet z prawicy, którą charakteryzuje dziś także polityka kompromisów. Hrabia d'Haussonville, opisawszy cały łuk wahadłowy, znowu powrócił do punktu wyjścia: znowu nawiązuje „Unię konserwatywną," tęż samą „Unię," którą przed miesiącem uważał za bezpożyteczną, nawet szkodliwą. W świeżej mowie bardzo zręcznie wyrzeka się swych słów i wymaga, aby konserwatyści, bez różnicy odcieni, zwartym szeregiem występowali przy wyborach.

Z drugiej strony polityka umów, do której pobudkę zagrali papież i szereg biskupów francuskich, otrzymuje coraz rozleglejszą organizacyę praktyczną. W odpowiedzi na hasło dane z Rzymu utworzył się komitet „Zjednoczenia Francyi chrześciańskiej," w którym widzimy takie imiona, jak Chesnelon, baron de Mackau, Albert de Mun, Buffet i inni. Rozbierając manifest, którym nowy komitet zaświadczył swe istnienie, znajdujemy jeden ustęp wyjaśniający odrazu wszystkie cele i zadania „Zjednoczenia." Ustęp ten brzmi. „Zwracamy się o pomoc do wszystkich chrześcian, do wszystkich porządnych ludzi, bez różnicy przekonań politycznych." „Pomoc" ta ma polegać na zniesieniu praw szkolnych, wojskowych (względem seminarzystów) i religijnych (względem kongregacyi). Ważne jest wszakże to, że o odbudowaniu monarchii niema tu ani słówka, przeciwnie, pozostawia się wszystkim zupełna dowolność przekonań pod względem formy rządu. W dalszym ciągu następują gorzkie żale z powodu biegu wypadków w społeczeństwie nowożytnem i żądania, tchnące gorliwością klerykalną. Pod tym względem manifest nie pozostawia żadnych dwuznaczników: nie chodzi tu o jakieś ulgi w wyżej przytoczonych prawach, lecz o zupełne utożsamienie interesu publicznego z interesem wiary. Po za doktrynami kościoła nie ma zbawienia dla społeczeństwa nowożytnego: myśl ta stanowi podstawę dokumentu, o którym mowa; zdradza ją każdy jego wyraz, każdy wiersz. Do tego celu trzeba dążyć słowem, piórem i czynem. Obojętność polityczna w usługach teokracyi i bigoteryi społecznej — oto ogólna formuła nowego komitetu i programu. Wskazywaliśmy już na działalności i dążeniach p. Piou, że obojętność polityczna jest tylko maską, chwilowo przywdzianą, którą można bardzo łatwo, w razie potrzeby, zrzucić. W większym daleko stopniu da się to jeszcze powiedzieć o obecnem „Zjednoczeniu," które organizuje się niezależnie od „prawicy konstytucyjnej." Członkowie komitetu wybrani zostali z pośród najbardziej wojujących i fanatycznych legitymistów czystej krwi. „Passe moi le casse, je te passerai le sené." W odpowiedzi na umizgi Watykanu Rzeczpospolita w osobie Carnota prawi komplimenty Kościołowi i „jego misyi cywilizacyjnej i pokojowej." Orleanistyczny *Soleil* cierpi z tego powodu nie mniej, niż radykalna *Justice*, a mianowanie Ferrata na nuncyusza, w Paryżu przyjęte zostało przychylnie tylko przez partyę umiarkowanc: nowy nuncyusz jest przedstawicielem polityki ugodowej, pokojowej.

Sprawa melinitowa Turpina, Triponé, i spółki wywołała w parlamencie interpelacyę, zwróconą przeciw osobie prezesa ministrów i słusznie: poza kilkoma podwładnymi, których prawo skarało z całą surowością kodeksu, czuć było kilku szefów, wykręcających się od odpowiedzialności. Przez usta Milleranda, Laguerre'a, Gauthiera, Freycinet usłyszał jeszcze raz zarzuty, uczynione mu już poprzednio przez dzienniki: niedbalstwo w strzeżeniu tajemnic wojskowych, opieszałość w ukaraniu winnych, których znał przed ukazaniem się książki Turpine'a itd. Ale zwykła zręczność prezesa gabinetu wyprowadziła go i w tym razie bez uszkodzenia z bitwy. Jakkolwiek Izba udzieliła mu wotum zaufania, znawcy powiadają, iż powaga Freycineta w całej tej sprawie mocno ucierpiała.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ani nacisk Bismarka, ani zachwyty posłów mających swoje faktorye handlowe, ani nawet życzenia cesarza nie zdołały wyciągnąć niemcom z kieszeni tyle marek, ile potrzeba na „stłumienie niewolnictwa" w Afryce wschodniej, to znaczy, na opanowanie tych jej kawałów, których anglicy i francuzi nie zdołali zagarnąć. Kanclerz, w duszy przekonany o złej sprawie, bronił jej znaną swoją sofistyką, Woerman i inni kupcy zamorscy podlewali swój interes sosem patryotycznym, naczelnicy wypraw, jak Wissman, opowiadali bajki o złotych górach, które murzynom odebrać można, manekiny sejmowe kiwały głowami i udawały *Begeisterung* — ale wszystko to nie zdołało należycie rozgrzać narodu, który wiedział lub czuł, że wymagają od niego ofiar straconych. To bowiem kęsy Afryki, które szakalom pozostawił lew brytański, są chudemi kośćmi, a te kawałki mięsa, które z nich jeszcze ogryźć można, niewarte złamanych na nie zębów. Nie pokonał obojętności również Caprivi, zwłaszcza że sam nią był przeniknięty. Ale — jak mówi przysłowie niemieckie — kto wymówił *A*, musi powiedzieć *B* itd.; skoro zrobiono pierwsze kroki — zawładnięto obszernemi terytoryami, sprawiono nowe okręty, wysłano ludzi — trzeba było zrobić dalsze, tem bardziej, że miała swój urok myśl nadania państwu mocy i blasku mocarstwa morskiego, posiadającego kolonie. Myśl ta naturalnie uśmiechała się przedewszystkiem do cesarza, wielce zamiłowanego w swej sile. I oto on sam, czy też ktoś z jego doradców wpadł na pomysł nader dziwny — urządzenia loteryi, z której dochód posłużyłby do działań przeciw „niewolnictwu." Co należy rozumieć pod owem „niewolnictwem," wyżej zaznaczyliśmy: chodzi o sprawienie nowych statków, założenie stacyj — całego tego aparatu, który jest potrzebny do kolonizacyi. Pisma demokratyczne i szczerze liberalne obruszyły się mocno na ten projekt; niewątpliwie jednak zostanie on urzeczywistniony, skoro cieszy się tak wysoką protekcyą i zapowiada wygrano po 600,000 marek! Kto się oprze takiej pokusie! Ale historya będzie wiedziała, gdzie zapisać ten nowy sposób „tłumienia niewolnictwa."

Wilhelm II wyjechał w długą podróż. Przybył już do Holandyi, gdzie go przyjmowano uroczyście, a następnie udaje się do Anglii.

Urzędy nadprezydentów we wschodnich dzielnicach Prus zostały rozdane: w Pru-

---

żny, uczynił ze mnie to, czem dzisiaj jestem; postawił mnie, że tak powiem, na właściwem stanowisku...

Urwałem... Zastawnik przysunął się do stołu.

— Doprawdy? — zapytał, patrząc na mnie ciekawie.

— Ołówkiem tym skreśliłem moją rozprawę „O poznaniu filozoficznem," w trzech tomach. Czyżbyś pan nie słyszał o niej?

Zdawało mu się, że słyszał już kiedyś nazwisko, tytuł...

Tak, to moja rozprawa. Nie powinno go tedy dziwić, że chciałem odzyskać ołówek; ma on dla mnie nadzwyczajną wartość; to przecież niby mały człowieczek. Za uprzejmość jestem zresztą prawdziwie zobowiązany; nie zapomnę mu tego — z pewnością, z pewnością nie zapomnę, słowo honoru; taka już moja natura; a on na szacunek zasługuje. Adieu.

Zbliżyłem się do drzwi z miną, jakbym człowiekowi temu co najmniej zapewnił dobrą posadę przy straży ogniowej. Uprzejmy zastawnik skłonił się dwa razy, ja odwróciłem się raz jeszcze i jeszcze raz powtórzyłem „adieu!"

Na schodach spotkałem kobietę, która w ręku trzymała torebkę podróżną. Nieśmiało usunęła się na stronę, ażeby mnie przepuścić; ja zaś odruchowo sięgnąłem do kieszeni po jałmużnę; nie mając nic, straciłem humor i z pochyloną głową ominąłem ją. Po chwili usłyszałem, że i ona do budy puka; przed budą znajdowała się krata druciana; poznałem natychmiast brzęczący dźwięk, spowodowany uderzeniem palców o żelazo.

Słońce stało wysoko; mogła już być dwunasta godzina. Miasto ożywiło się; zbliżał się czas przechadzki; po ulicy Karola Jana zaczęły falować uśmiechnięte, kłaniające się tłumy. Przyciągnąłem łokcie do siebie, skurczyłem się we dwoje i niepostrzeżony prześliznąłem się koło paru znajomych, którzy, obrawszy sobie posterunek przy jednym z krańców uniwersytetu, obserwowali przechodniów. Pogrążony w zadumie wchodziłem na górę zamkową.

Jakże lekkie i wesołe wszyscy ci ludzie mieli głowy; przez życie stąpali, jak przez salę balową. W żadnem oku troski, na barkach żadnego ciężaru, może nawet myśli przykrej, nawet jednego cierpienia ukrytego nie było w tych wesołych duszach. A ja chodziłem tuż koło nich, młody, rozkwitły zaledwie; jam już zapomniał, jak wygląda szczęście. Zajmując się tą myślą, doszedłem do wniosku, że stała mi się wielka krzywda. Dlaczego ostatnie miesiące po macoszemu się ze mną obchodzą? Nie poznawałem się: ze wszystkich stron spadały na mnie najdziwniejsze plagi. Ani usiąść na ławce, ani pójść dokądkolwiek: natychmiast zaczynały mnie męczyć różne przypadki drobne, bez znaczenia, nędzne drobiazgi; wdzierały się one w mój umysł i rozpraszały siły na cztery wiatry. Pies, który przebiegł koło mnie, żółta róża w butonierce jakiegoś pana — były w stanie wprowadzić myśli moje w ruch i zaabsorbować umysł na długi przeciąg czasu. Cóż to było? Czyby to palec boży na mnie spoczął? Ale dlaczego na mnie? Dlaczego nie na kimkolwiek w południowej Ameryce? Zastanawiając się, coraz mniej pojmowałem, dlaczego to ja właśnie miałem stanowić ów kamień probierczy dla kaprysów losu? Skoczyć z jednego świata w inny po to tylko, ażeby mnie znaleźć, to co najmniej dziwne; prócz mnie istnieli przecież jeszcze antykwaryusz Pasza i ekspedytor statków parowych Hennechen.

Chodziłem i dumałem; myśl ta nie opuszczała mnie; wynajdywałem bardzo ważne zarzuty przeciwko samowoli Pana, który kazał mi pokutować za grzechy innych. Nie przestało mnie to trapić nawet wtedy, gdym, odszukawszy ławkę, usiadł nareszcie. Trapiło mnie, nie pozwalając mi się zająć innym przedmiotem. Od owego dnia w maju, kiedy zaczęły mnie prześladować przykrości, czułem, że słabnę z każdą godziną; byłem zanadto wycieńczony, ażeby zwrócić i poprowadzić się tam, gdzie chciałem; rój małych, szkodliwych owadów przedarł się do mego wnętrza i wyżłobił w niem wielką pustkę. A może zamiarem Boga było zgładzić mnie zupełnie? Powstałem się i zacząłem się znowu przechadzać przed ławką.

Całe moje jestestwo znajdowało się teraz w stanie nadzwyczajnego cierpienia; w ramionach miałem ból tak silny, że podnieść ich nie mogłem. Po ostatnim, cięż-

sach wschodnich osadzono b. ministra oświaty Gosslera, w zachodnich hr. Clairon d'Haussouvilla, na Pomorzu — b. ministra spraw wewnętrznych Putkamera, który w ostatnich czasach odegrał względem Bismarka rolę Brutusa względem Cezara. Giętka natura dostojników pruskich: umieją schodzić ze stanowisk zwierzchniczych na podwładne i czuć przytem zadowolenie.

W rumuńskiej rodzinie królewskiej ujawnił się „skandal": następca tronu chce koniecznie poślubić księżniczkę Vacaresco, co budzi zgrozę. Rudolf, Jan (Orth), Battenberg, Hohenzollern rumuński — co tu naraz buntów serca!

Jak wiadomo, poseł młodoczeski Waszaty wystąpił w Radzie państwa gwałtownie przeciw Austryi, a towarzysze jego oświadczyli, że przemawiał tylko we własnem imieniu. Obecnie *Narodni listy*, odpowiadając na uwagi gazet ruskich w tej sprawie, upewniają, że to przeciwieństwo względem Waszatego nie dotyczyło zasad politycznych partyi, lecz podrzędnych faktów, że według młodoczechów odrodzenie się Czech pozostaje ciągle w związku ze zwycięzkiemi dziełami Rosyi, która jest przewodniczką słowian austryackich.

Na wyspie Krecie ponowiły się rozruchy z bardzo groźnym charakterem. Kilku naczelników gmin wręczyło konsulowi angielskiemu memoryał, w którym skarżą się na okrutne postępowanie wojsk tureckich.

Kurdowie porwali znowu jakąś pannę i domagają się za nią okupu. Jeżeli Porta płacić będzie wszystkie te haracze zbójcom, to niedługo zbraknie jej na zaopatrzenie Ildiz-Kiosku w baraninę.

Już i pisma klerykalne stwierdzają pogłoskę, że papież skutkiem umieszczenia kapitałów w papierach i przedsięwzięciach wątpliwych poniósł znaczne straty i zaprowadza teraz w swojem gospodarstwie wielkie oszczędności.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

I. Przepisy emigracyjne.

Warszawskij Dniewnik pisze:

„W dniu 28 marca r. b. na najpoddańszy raport ministrów spraw wewnętrznych i skarbu, Najjaśniejszy Pan najłaskawiej rozkazać raczył: uwolnić czasowo na trzy lata obywateli Królestwa Polskiego, którym będzie dozwolone opuszczenie ojczyzny, od opłaty 100 rs. za paszporty emigracyjne i 2) udzielić generał-gubernatorowi warszawskiemu prawo wydawania świadectw emigracyjnych, bez wyjednania na to oddzielnego Najwyższego rozkazu.

Wspominaliśmy już w poprzednich artykułach, że cel tego rozporządzenia był zrozumiany niewłaściwie. Wydawanie bezpłatnie świadectw emigracyjnych i zmiana sposobu ich wydawania zostały postanowione na to, ażeby nie stawiać ludności kraju tutejszego w konieczności opuszczania ojczyzny potajemnie, posługiwania się rozmaitymi nielegalnymi środkami i stawania się przytem często ofiarą eksploatacyi żydowskiej. Jeżeli wśród włościan i robotników istnieje nieprzeparty popęd do emigrowania, to lepiej utworzyć ku temu legalny upust, z tym przecież warunkiem, ażeby zastosowanie nowych, lepszych dróg do porzucenia ojczyzny nie doprowadziło do wzmożenia emigracyi.

W tym też ostatnim celu, oraz ażeby nie dopuścić emigrowania osób, niemających dostatecznych środków na przejazd do Ameryki, zamierzających pozostawić w ojczyznie swoje rodziny i majątek nieruchomy, jeżeli je posiadają, albo nareszcie osób, zamierzających przesiedlić się do ościennych państw Europy, polecono przy rozstrzyganiu spraw, wynikłych na prośby obywateli Królestwa Polskiego o wydanie im świadectw emigracyjnych, kierować się, prócz istniejących praw i rozporządzeń rządowych, następnymi dodatkowymi przepisami:

1) Co do włościan rolnych i bezrolnych, robotników wiejskich, fabrycznych i innych i rozmaitego rodzaju obywateli miejskich i wiejskich prostej klasy, nie stosować ustanowionego ogłaszania w dziennikach gubernialnych o ich zamiarze wysiedlenia się, wymagane zaś świadectwa kwalifikacyjne sporządzać w ciągu dni dziesięciu od daty wyrażenia prośby o przesiedlenie.

2) Dzieci, należące do rodzin chrześciańskich, wyłuszczonych w poprzednim punkcie 1-ym, uważać za podlegające uwolnieniu z poddaństwa nietylko do 15, ale nawet do 17 lat, jeżeli nie zachodzą przeciw temu jakiekolwiek inne szczególne przeszkody.

3) Od wszystkich wysiedlających się żądać właściwego świadectwa, czy posiadają w kraju własność nieruchomą i informować właścicieli przesiedlających się do Ameryki, że mogą otrzymać świadectwa emigracyjne jedynie pod warunkiem sprzedania swojego majątku nieruchomego przed wyniesieniem się z kraju.

4) Nie żądać od osób, wymienionych w punkcie 1-ym i przesiedlających się do Ameryki, składania świadectw rządów zagranicznych o przyzwoleniu na zaliczenie ich do tamecznych poddanych.

5) Żądać od każdego z przesiedlających się na zasadzie niniejszych przepisów przedstawienia 75 rs. na każdego pełnoletniego i 50 rs. na niepełnoletniego. Pieniądze te naczelnicy powiatu wnoszą, jako ich depozyty, do kas miejscowych i zwracają osobom, które je złożyły, przy wręczaniu im świadectw emigracyjnych.

6) Doręczanie interesowanym świadectw emigracyjnych, wydanych przez generał-gubernatora warszawskiego, oraz zwrot wyżej wyrażonych sum pieniężnych, ma następować w tych urzędach celnych, przez które emigrujący życzą sobie opuścić ojczyznę, o czem naczelnik powiatu lub urzędnik przez niego do tego upoważniony winien spisać odpowiedni protokół.

7) Uprzedzać wszystkich proszących o świadectwa emigracyjne, że jeżeli po zawiadomieniu ich o udzielonem przez Naczelnika kraju pozwoleniu na ich przesiedlenie nie opuszczą ojczyzny w ciągu trzech miesięcy, pozwolenie to traci moc i będą ponownie uważani za poddanych ruskich.

Niezależnie od tego na panów naczelników gubernij kraju tutejszego włożono obowiązek postarać się: 1) ażeby papiery w interesie podań o przesiedlenie do Ameryki osób, wymienionych w punkcie 1-ym, były przez naczelników powiatu przedstawiane nie później, niż w dziesięć dni po złożeniu podań o przesiedlenie wraz ze wszystkiemi przepisanemi świadectwami i informacyami; 2) aby papiery te wraz z opiniami gubernatorów przedstawiane były generał-gubernatorowi nie później, niż po upływie trzech dni od daty otrzymania ich od naczelników powiatu; 3) aby świadectwa emigracyjne, przesłane gubernatorom, były bezzwłocznie ekspedyowane do naczelników powiatu, dla doręczenia ich interesowanym w formie wyżej przepisanej, również bez żadnej zwłoki.

Bezpłatne wydawanie świadectw emigracyjnych przy przestrzeganiu powyższych przepisów, ułatwiających spełnienie niezbędnych dla emigrowania formalności, nie może chyba wzmocnić ruchu emigracyjnego. Nowy środek tylko uległizuje to, co przedtem dokonywało się na drodze nielegalnej i zmniejszy liczbę osób, samowolnie porzucających ojczyznę, a zatem dopuszczających się przestępstwa, przewidzianego w art. 325 i 326 ustawy karnej."

---

kim posiłku było mi bardzo niedobrze; czułem przesyt, podniecenie. Przechadzałem się, nie podnosząc oczu; ludzie przesuwali się przede mną, jak cienie. Wreszcie na ławce mojej usiadło dwóch panów; zapalili cygara i wszczęli głośną rozmowę; rozgniewało mnie to; już chciałem się do nich odezwać; rozmyśliłem się jednak i udałem się na drugi koniec parku, gdzie znowu poszukałem ławki dla siebie.

Myśl o Bogu pochłaniała całą moją uwagę. Wybaczyć mu nie mogłem, że ilekroć szukałem jakiej posady, wtrącał się i psuł mi wszystkie szyki: przecież tylko o chleb powszedni prosiłem. Zauważyłem, że ilekrotnie przez dłuższy czas cierpiałem głód, mózg mój wysączał się jakoby nieznacznie, pozostawiając w głowie pustkę. Głowa stawała się natenczas lekka, jakby jej nie było; nie czułem jej ciężaru na barkach; zdawało mi się, jak gdybym na każdym kroku spoglądał zbyt szeroko otwartemi oczami.

Siedziałem na ławce i myślałem, a w sercu gorycz coraz więcej wzbierała przeciw Bogu i długotrwałym cierpieniom, które on na mnie zsyłał. Jeżeli sądził, że tym sposobem zdoła mnie wznieść ku sobie, jeżeli sądził, że poprawi mnie, męcząc na śmierć, gromadząc w życiu mojem nieszczęścia, to się mylił, bardzo się mylił. I prawie płacząc ze złości, spojrzałem w górę i wyjawiłem mu to — w duchu — raz na zawsze.

Przypominały mi się ustępy, których, dzieckiem będąc, uczyłem się. Ton biblijny zadźwięczał mi w uszach; zacząłem szeptać do siebie, głowę szydersko zwiesiłem na ramieniu... W jakim celu troszczyłem się o jadło, napój, odzież dla mego nędznego ciała? Czyż mój Ojciec niebieski nie dba o mnie, jak o te wróble na dachu; czyż nie dał mi dowodu swojej łaski, składając na mnie dłoń swoją? Bóg palcem poruszył tkankę moich nerwów i pogmatwał powoli wszystkie jej nitki. I Bóg odjął palec, a na palcu zostały włókna i delikatne korzonki moich nerwów. I palec boży wywiercił dziurę w mózgu moim i ranę zadał mu krwawą. Ale że Bóg dotknął mnie raz palcem swojej ręki, więc już ręki nigdy więcej na mnie nie spuszcza; nie dozwala, ażeby mi się co złego stało. Lecz daje mi iść w spokoju, iść mi daje z ową raną. I żadne zło nie pochodzi od Boga, który jest panem w niebiosach po wszystkie czasy...

Ze Studenckiego gaju wiatr niósł dźwięki muzyki: było więc już po drugiej. Wyjąłem papier, chciałem pisać; w tej samej chwili z kieszeni wypadł mi abonament golarski. Otworzyłem książeczkę, przeliczyłem kartki, było ich sześć jeszcze. Dzięki Bogu! — rzekłem mimowoli. Mogę się więc jeszcze golić przez parę tygodni; przez parę tygodni mogę wyglądać przyzwoicie. Mały ten dobytek, jedyny, jaki mi pozostał, odrazu wprawił mnie w lepszy humor; starannie wygładziłem kartki i włożyłem książeczkę napowrót do kieszeni.

Pisać jednak nie byłem w stanie. Skreśliłem parę wierszy — dalej nie się nie kleiło; myślą bujałem gdzieindziej, a na stanowczy wysiłek zdobyć się nie umiałem. Wszystko, wszystko oddziaływało na mnie, targając moją uwagę. Muchy i małe mrówki siadały na papierze: przeszkadzały mi; chciałem je odpędzić, dmuchałem więc, dmuchałem coraz silniej — bezowocnie. Małe stworzonka przechylają się w tył, zyskują w ten sposób na sile, opierając się, kurcząc cienkie nóżki — nie dają się ruszyć z miejsca; trzymają się kolankami przecinka lub jakiejś nierówności na papierze i niewzruszone pozostają w tej pozie tak długo, aż same zechcą się oddalić.

Przez jakiś czas małe te potworki pochłaniały moją uwagę; założyłem nogę na nogę i oddałem się obserwacyi. Nagle z gaju spłynęło parę wysokich tonów klarnetowych: myśl moja zwróciła się odrazu w inną stronę. Skwaszony — artykułu nie byłem w stanie dokończyć; schowałem papier napowrót do kieszeni i oparłem się o ławkę. W tej chwili umysł mój jest tak jasny, że wysnuwa najsubtelniejsze myśli, nie czuję zmęczenia. W tej pozie spoczywając, przesuwam zwolna wzrok po za piersi, w dół ciała, aż do końca nóg; spostrzegam drganie nogi przy każdem uderzeniu pulsu. Napół się podnoszę, spoglądam na nogi i w tejże chwili ogarnia mnie dziwny, fantastyczny nastrój, którego poprzednio nigdy jeszcze nie doznałem: czuję jakby pchnięcie w nerwy, jakby dreszcz z zimnego światła. Patrząc na buty, zdaje mi się, że odnajduję dobrego przyjaciela, że odzy-

II. Pospolite ruszenie.

Prawit. Wiestnik zamieszcza następujące rozporządzenie:

1) Pospolite ruszenie przeznacza się, w czasie wojny, na pomoc wojsk stałych i składa się z całej, niewliczonej do wzmiankowanych wyżej wojsk, ludności męzkiej państwa, zdolnej do noszenia broni, aż do 43 lat włącznie. Osoby, niezaliczone do wojsk stałych, lecz zdolne do służby frontowej, które w wojskach stałych dosłużyły się rangi oficerskiej, zaliczają się do pospolitego ruszenia: posiadające stopień ober-oficerski do 50 lat, osoby zaś w stopniu generała lub oficera sztabu — do 55 lat wieku.

2) Osobom, które przekroczyły czas obowiązkowej służby w pospolitem ruszeniu, nie zabrania się wstępować do niej stosownie do życzenia.

3) Osoby, stanowiące pospolite ruszenie, nazywają się szeregowcami (*ratnikami*), jeżeli nie pozyskały stopni oficerskich i dzielą się na dwie kategorye. W pierwszej, która przeznacza się zarówno do pospolitego ruszenia, jak i do kompletowania wojsk stałych w razie ich wyczerpania lub braku rezerwy, znajdują się osoby, zaliczone do tej kategoryi przy corocznych popisach oraz osoby, uwolnione z wojsk stałych. Do drugiej zaliczają się tylko osoby, zakwalifikowane do pospolitego ruszenia przy corocznych popisach; kategorya ta przeznaczona jest wyłącznie do pospolitego ruszenia.

4) Niżej wymienione osoby, liczące się do pewnej kategoryi, należą do obrachunku: a) zaliczone do pospolitego ruszenia po uwolnieniu z wojska stałych; b) należące do czterech młodszych kategoryj (według wieku) pospolitego ruszenia, tj. zaliczone do niego w czasie czterech ostatnich popisów i c) z liczby zaliczonych do pospolitego ruszenia wcześniej — lekarze i felczerzy, osoby posiadające świadectwa naukowe dwóch pierwszych stopni, oraz te, które ukończyły zakłady naukowe trzeciej kategoryi i które znajdują się w służbie państwowej. Osoby, wymienione w punkcie b) mogą być zwoływane na ćwiczenia, nie więcej jednak, niż dwa razy w ciągu pierwszych czterech lat po zaliczeniu do pospolitego ruszenia i nie dłużej, jak na sześć tygodni.

5) Pospolite ruszenie pierwszej kategoryi zwołuje się na mocy Najwyższych ukazów do senatu, a drugiej kategoryi na mocy Najwyższych manifestów.

6) Zwołane pospolite ruszenie formuje się w oddziały (*drużyny*) piesze, seciny konne, baterye artyleryjskie, roty forteczne i artyleryjskie, roty saperów, osady i roty marynarskie. Oddziały piesze mogą być łączone w brygady i dywizye, seciny konne i baterye artyleryjskie w pułki, roty saperów i forteczne w oddziały według z góry opracowanego w ministeryum wojny planu.

7) Zwierzchni nadzór nad prawidłową organizacyą zwołanego pospolitego ruszenia i zaopatrzenia go we wszystko, co potrzeba, należy do ministrów: spraw wewnętrznych (oddział administracyjny), wojny (sztab główny) i marynarki (sztab główny). Najbliższa kontrola miejscowa należy do gubernatorów, którzy działają nietylko jako przewodniczący komisyj poborowych, lecz i jako główni przedstawiciele władzy miejscowej.

8) W razie wykroczeń i przestępstw, osoby zaliczone do pospolitego ruszenia podlegają sądom kryminalnym państwowym z wyjątkiem: 1) niestawienia się, w razie powołania, do służby czynnej lub na ćwiczenia; 2) przestępstw, tyczących się naruszenia dyscypliny wojskowej na ćwiczeniach i 3) mniej ważnych przestępstw, popełnionych w czasie znajdowania się na ćwiczeniach. W wypadkach przewidzianych w punktach 1 i 2 osoby te podlegają sądowi wojennemu, a w wypadku, przewidzianym w punkcie 3-im, podlegają karom dyscyplinarnym ze strony zwierzchniej władzy wojskowej.

9) Powołanie szeregowców pierwszej kategoryi, którzy nie przechodzili przez wojska stałe, odbywa się stosownie do wieku, poczynając od młodszych, bez względu na wyjęty numer losu, z wyjątkiem tylko ostatniej kategoryi wieku. W tym ostatnim wypadku, o ile niema zbytniego braku ludzi, zdolnych do noszenia broni, uwzględniane być mogą numery kolejne losów, jakie dane osoby wyciągnęły przy popisie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

OSTATNIE SŁOWO MANCZESTERYZMU.

Gdyby mnie uwiadomiono, że Smiles, ów kaznodzieja mieszczańskich kultów samopomocy i oszczędności, z rozpaczy dostał obłąkania, bynajmniej nie zdziwiłbym się. W Anglii bowiem dziś odbywa się istotny przełom zapatrywań i dążności. Niezmierny rozkwit przemysłu angielskiego po r. 1848, nie tylko dla kapitalistów niósł złote jaja, lecz równie powiększył dobrobyt warstw pracujących. To polepszenie, które spadło bez żadnych wysiłków działalności klasowo-partyjnej, podерwało do gruntu czartyzm, pogodziło najmitów z porządkami kapitalistycznymi i zrobiło z nich gorliwych wyznawców ewangelii Smilesowskiej. Lecz od lat 20 przemysł angielski został powstrzymany w swoim rozwoju, skutkiem czego łatwo zyskany dobrobyt upada. Trades-uniony spodziewały się zapewnić swoim członkom utrzymanie na starość lub w chorobie dobrowolnemi składkami; prywatnem oddziaływaniem regulować dzień roboczy; samopomocą zdobyć ukształcenie. Dzisiaj budzi się coraz bardziej świadomość, że tego wszystkiego można dopiąć jedynie przy pomocy maszyny państwowej, zorganizowawszy się w odpowiednią partyę klasowo-polityczną. Zwrot ten uwidocznił się nader silnie na ostatnim zjeździe, w Liverpoolu, gdzie zjawili się przedstawiciele blizko półtora miliona trades-unionistów (1890). Jednocześnie dają się słyszeć hasła unarodowienia kolei i marynarki handlowej, umunicypalizowania gazu, tramwajów, doków itd. Niektórzy nawet ekonomiści zaczynają przebąkiwać o „etyce,“ tym fortelu, która pozwala uczynić kilka ustępstw w imię „uczucia“ i jednocześnie potępić je ze stanowiska „rozumu.“ Rozwijająca się hygiena, usiłując zniszczyć gniazda zarazków, a spotykając przeszkody w postaci praw własności, wzywa również państwo o nadwyrężenie ich. Słowem, „swoboda ekonomiczna“ zostaje zagrożoną z różnych stron. Dodajmy do tego, że zmiana frontu trades-unionów oddziaływa w mniejszym lub większym stopniu na różne partye polityczne kraju. Robotnicy bowiem stanowią dzisiaj w Anglii mimo pewnych ograniczeń poważną masę wyborczą a stronnictwom politycznym idzie o pozyskanie ich względów. Tem-to można objaśnić wyrzeczenia przeszłoroczne w parlamencie, że „wszyscy dzisiaj jesteśmy potrosze socyalistami.“ (Winniśmy zaznaczyć, że w Anglii socyalizmem przezywane są nawet dążności w rodzaju prawodawstwa fabrycznego, hygieny społecznej, nawet upaństwowienia kolei). Rozumie się, że ideolodzy wolności ekonomicznej wraz z rzeszą wielkoprzemysłową nie zasypiają też gruszek w popiele. Rodzą się różne kluby, stawiające sobie za cel obronę „swobody“ i „własności.“ Ukazuje

---

skuję urwaną część swego „ja.“ poczucie tożsamości mojej osoby przejmuje mi wszystkie zmysły, łzy wzbierają do oczu; wydaje mi się, jakoby buty moje były cichym, szumiącym tonem, który dla mnie z oddali rozbrzmiewa. „Słabość!“ — mówię ostro, zaciskam pięście i jeszcze raz powtarzam: „słabość!“ Sam kpię z tych śmiesznych wrażeń, świadomie robię z siebie głupca, przemawiam do siebie surowo i rozsądnie, gwałtem zwieram oczy, ażeby powstrzymać łzy. Zaczynam przyglądać się memu obuwiu, jak gdybym je po raz pierwszy dzisiaj widział; badam jego mimikę, w czasie gdy nogą poruszam; studyuję formę, wytartą przyszew i przytem zauważam, że fałdy i białe szwy nadają mu pewien wyraz, pewną fizyognomię. W buty te przeszła część mego jestestwa, działały na mnie jak podmuch, skierowany przeciwko memu „ja,“ niby oddychająca cząstka mojej istoty.

W ten sposób majaczyłem może z godzinę. Jakiś mały, stary człowieczyna zajął przeciwległy koniec mojej ławki; usiadłszy, odsapnął potężnie, zmęczony widać drogą i r[illegible]ki.

— Tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak — prawda!

Kiedy ten głos usłyszałem, w głowie zahuczało mi, niby orkan; dałem butom spokój; błędny nastrój ducha, pod którym cierpiałem dotychczas, ulotnił się w mgnieniu oka; zostawił tylko wrażenie wspomnienia z dawnych czasów, wspomnienia po czemś, co miało miejsce przed dwoma lub trzema laty, a teraz powoli gasło w pamięci. Zacząłem się przyglądać staruszkowi.

Cóż on mnie obchodził? Nic! Ani trochę! Tylko że w ręku trzymał gazetę, stary jakiś numer; strona anonsów znajdowała się na wierzchu; numerem coś owinięto. Ciekawość moja nagle się budzi; nie mogę już oderwać oczu od gazety; opanowywa mnie szalona myśl: może to jakaś dziwna gazeta, jedyna w swoim rodzaju; ciekawość rośnie; zaczynam kręcić się na ławce. Może to jakieś dokumenty, jakieś akta niebezpieczne, które stary wykradł z archiwów. Przypominają mi się tajemne traktaty, spiski.

Stary siedział spokojnie, pogrążony w zadumie. Dlaczegóż gazety, jak każdy porządny człowiek nie trzymał tytułem nazewnątrz? Cóż to za podstęp? Zdawało się, że nie wypuści paczki z ręki, za żadną cenę świata; może nie śmiał nawet jej powierzyć własnej kieszeni. Głowę dałbym był na to, że w tem coś tkwiło.

Patrzałem przed siebie. Niemożność wniknięcia w mistyczną tę kwestyę doprowadzała ciekawość moją do szału. Przeszukałem kieszenie w nadziei, że znajdę jakiś datek dla staruszka i tym sposobem zawiążę z nim rozmowę; pochwyciłem abonament, ale po chwili wypuściłem go z ręki. Nagle zdobyłem się na niesłychaną zuchwałość, pomacałem ręką kieszeń i zapytałem:

— Czy można panu ofiarować cygaro?

— Dziękuję! Nie palę; zaprzestałem dla oczu (był prawie niewidomy). — Ślicznie dziękuję.

— Czy też pan długo już cierpi na oczy. Pewnie i czytać nie może? Nawet dziennika?

— Niestety, nawet dziennika.

Spojrzał na mnie. Chore oczy pokryte były błonką, wyglądały jakby szkliste; wzrok był tępy; robił wstrętne wrażenie.

— Pan nie tutejszy? — zapytał.

— Nie. — ...Czy pan nawet tytułu gazety przeczytać nie może?

— Z trudnością.

Zresztą poznał odrazu, żem nie tutejszy; akcent mnie zdradził. Ma słuch nader delikatny; w nocy, kiedy wszyscy spoczywają, on słyszy oddech ludzi, śpiących w sąsiednim pokoju...

— Cóż to chciałem powiedzieć... gdzie pan mieszka?

Miałem kłamstwo na pogotowiu. Kłamałem mimowoli, bez ubocznej myśli...

— Na Placu św. Olafa pod nr. 2.

— Doprawdy?

Zna każdy kamień na placu św. Olafa. Jest tam wodotrysk, parę lamp gazowych, kilka drzew... doskonale pamięta...

— Pod którym numerem pan mieszka?

Przez ciekawość doprowadzony do ostateczności, postanowiłem raz rzeczy koniec położyć. Tajemnica gazety musiała się wyjaśnić, choćby kosztem nie wiem czego.

— Jeżeli pan nie może czytać gazety, to poco?..

się cała powódź broszur i broszurek. Nie będziemy się zatrzymywali nad tem wszystkiem, weźmiemy jedynie zbiorową pracę, która świeżo się ukazała: *W obronie swobody* *). Jest to jakby rodzaj manifestu olbrzymich rozmiarów ze strony manczesteryzmu. Zasługuje on na uwagę chociażby dla firm, które przyjęły w nim udział. Arcykapłan szkoły manczesterskiej, znany filozof Herbert Spencer, w szkicu swoim *Od swobody ku niewoli* streszcza całą filozofię „swobody.“ Robertson i Donisthorpe podnoszą kwestye podobnie teoretyczne. Howell, Vincent, Fairfield, Mackay, Alford, Raffalowicz, O'Brien, Gordon, Millard napadają na różne objawy „ducha niewoli,“ Auberon Herbert kreśli drogę, po której należy kroczyć, aby uniknąć „niewoli,“ a zwiększyć dobrobyt społeczny. Pomimo zbiorowości, nie dostrzegamy najmniejszego rozdźwięku pomiędzy oddzielnymi ustępami książki, tak wszyscy autorzy dobrali się. Spencer jest tutaj powagą, jego poglądy są wciąż przytaczane, a nawet rozprawy pojedynczych autorów stanowią jedynie rozwinięcie ustępów jego pracy. Rzekłbyś, kwoka z kurczętami! „Manifest“ skierowany jest głównie przeciwko temu lub innemu praktycznemu wtrącaniu się państwa do spraw ekonomicznych, bezpłatnym szkołom, pocztom, wreszcie trades-unionom.

I.

Zaczniemy od rozpatrzenia rozpraw treści ogólniejszej. Są one poświęcone wyszukaniu przyczyn, dlaczego „umysł ludzki“ (wszyscy autorzy rozumują takiemi ogólnemi kategoryami) zwrócił się w Anglii ku ideałom, niosącym z sobą nową postać „niewoli“ lub też zajmują się wykazaniem niepraktyczności ustroju kolektywnego. Zresztą książka *W obronie swobody* nie odznacza się bynajmniej znajomością krytykowanego obozu. Czytelnik zgodzi się z nami, iż walcząc z pewną doktryną, należy brać jej opracowanie najbardziej naukowe, zwłaszcza jeśli ono jest ogólnie wyznawane. Tymczasem zdaje się, iż ani jeden z autorów nie słyszał nawet o istnieniu czegoś podobnego... Zwłaszcza Spencer wyróżnia się tą dziwną zaletą. Widocznie olimpijczyk ten nie raczył zadać sobie najmniejszego wysiłku, aby zrozumieć, czego chcą „niepomie“ i „próżniacy,“ tak bowiem z góry już chrzci całe tłumy nędzarzy z wschodnich dzielnic Londynu.

Posłuchajmy głosu wyroczni. Skąd wzięła się tegoczesna kwestya społeczna? „Fakty zadają w sposób najrozmaitszy kłam zapatrywaniom zdrowego rozsądku na sprawy społeczne; zwłaszcza ta okoliczność zasługuje na uwagę, że im postęp i polepszenie bytu są większe, tem głośniej rozlegają się utyskiwania na uciążliwość istniejącego stanu rzeczy.“ Kiedy np. rządy w Anglii były arystokratyczne, mniej sarkano z tego powodu, aniżeli obecnie, kiedy pozostał jedynie cień wszechwładztwa lordów; również daremnie poszukiwalibyśmy teraz dawnych opojów i hulaków, a jednak oburzenie z powodu dzisiejszego alkoholizmu jest większe. Napróżno oglądalibyśmy się dzisiaj za dawną nędzą, brakiem przyodziewku, krótkości życia, a przecież „mimo tych wszystkich ulepszeń wciąż wołają, iż społeczeństwo jest złe, że winno być zupełnie zburzone i odbudowane na zgoła odmiennych zasadach.“ Rozwlekle, nawet nudnie ciągnie się to rozumowanie Spencera, a raczej wyrażanie podziwu, że obecni ludzie są więcej niezadowoleni, niż w w. XV, kiedy domy były bez podłóg i z papierowemi oknami. Mu to starczyć za rozbiór sprężyn, czemu w społeczeństwach Europy sroży się obecne niedomaganie! Pod tym względem niektórzy współtowarzysze Spencera (np. Hovell) idą już dalej. Ten ostatni widzi np. źródło niezadowolenia w tem, że bogactwo zostało skupione w nielicznych rękach, pracująca zaś część społeczeństwa znajduje się we względnem ubóstwie. Pojmowanie to nie wyczerpuje też źródeł obecnego utyskiwania. Można sobie przedstawić jeszcze większą nędzę, a przytem zupełny brak niezadowolenia. Mamy to np. w Indyach Przedgangesowych. Głównem piętnem obecnej opoki dziejowej jest niepewność jutra. Istotnie, niewielka to pociecha dla nowoczesnego najmity, że posiada on więcej koszul, niż Karol W., jeśli jutro wypadnie mu je zastawić lub umrzeć, pozostawiając dzieci na pastwę głodu. Nadto tłumy, pozbawione pewności jutra, skupiają się w wielkich ogniskach ludności, gdzie samo życie z jednej strony daje im mnóstwo potrzeb, z drugiej — nie dostarcza środków zaspokojenia ich, a równocześnie szerzone poglądy o równości uczą, że każdy w zasadzie ma jednakie prawa użycia. Wszystko to zostało pominięte przez Spencera. Przyjrzyjmy się teraz rodowodowi u „wielkiego syntetyka“ ideałów kolektywizmu. Jak wiadomo, jest to zdemokratyzowanie tych wzorów współdziałania produkcyjnego, jakie spostrzegamy w wielkim przemyśle, oraz rozszerzenie ich w dalszym ciągu na całe społeczeństwo. Spencer jednak milczy o takiem prostem pochodzeniu tego prądu i poczyna „filozoficznie“ — jak to mówią — od stworzenia świata. A zatem w rozwoju społecznym spotykamy dotychczas dwie postacie współdziałania: przymusową i dobrowolną. Pierwsza była niegdyś jedyną. Hasłem jej było: czyń, co ci każą! Niewolnictwo starożytne i pańszczyzna średniowieczna są wcieleniami takiego przymusowego współdziałania. Atoli z biegiem czasu rozprzęgło się ono i dzisiaj, zamiast przymusu, nastała dobrowolna umowa: robotnik świadomie przyjmuje warunki i, jeśli są złe, nic mu nie staje na zawadzie w porzuceniu miejsca. Spencer zupełnie nie dostrzega, że przy zawieraniu kontraktu za plecami każdego najmity stoi widmo głodu i nic nie wie o drobiazgowo opracowanych przepisach fabrycznych, przypominających karność wojskową. Mniejsza jednak o to. Człowiek tedy, obdarzony tym dzisiejszym „dobrowolnym“ ustrojem współdzielczym, zgodnie z zadziwiającą a wykrytą przez Spencera zasadą, że im lepiej, tem gorzej, występuje przeciwko swemu szczęściu. Zamiast oczekiwać zwolna zmian społecznych, chciałby żeby już dzisiaj zapanował raj na ziemi. Ponieważ żyje w kooperacyi dobrowolnej, uważa więc on ją za niewytrzymującą żadnej krytyki; a ponieważ po za nią istnieje jedynie przymusowa, w umyśle jego niezadowolonym ukazuje się ów przymus, jako jedyny ideał pożądany. Słowem, otrzymaliśmy rodowód dzisiejszego kolektywizmu! Czy ów wyidealizowany ustrój da ludziom spodziewane szczęście? Spencer powołuje się na zawody, doznawane przez wynalazców. Zaledwie raz jeden na pięćdziesiąt odkrycie jakieś odpowiada pokładanym nadziejom, w reszcie wypadków okazuje się nieudatną próbę. A przecie jak prostą rzeczą jest ulepszenie techniczne w porównaniu ze złożonością istoty społecznej! Dlaczego więc twórcy nowych ideałów spo-

*) *A plea for liberty, an argument against socialism and socialistic legislation, edited by Thomas-Mackay.*

— Pod nr. 2 — powiedział pan — ciągnął dalej, nie zauważywszy mego niepokoju. W swoim czasie znałem wszystkich z pod 2-go numeru. Jak nazwisko pańskiego gospodarza?

Naprędce wymyśliłem nazwisko, aby się go pozbyć; po chwili złożyłem je jako tako i rzuciłem, chcąc nudziarzowi raz wreszcie zamknąć usta.

— Happolati — rzekłem.

— Happolati?.. tak! — powiedział; nie uszła mu ani jedna zgłoska tego trudnego nazwiska.

Zdziwiony, spojrzałem na niego: siedział bardzo poważnie, w zamyśleniu. Zaledwie wymówiłem głupie nazwisko, które nagle w głowie mojej powstało, a staruszek już się z niem oswoił i udawał, jak gdyby je był słyszał już dawniej. Tymczasem pakiet złożył na ławce, obok siebie; czułem, jak ciekawość drga we wszystkich moich nerwach. Teraz dopiero zauważyłem, że na gazecie było parę tłustych plam.

— Czy gospodarz pański nie jest marynarzem?—zapytał bez cienia ironii w głosie.

— O ile sobie przypominam, był marynarzem!

— Marynarzem? To pan chyba znał jego brata.

— Mój gospodarz — to I. A. Happolati, agent.

Sądziłem, że tym argumentem rozmowę zakończę. Lecz stary zgadzał się na wszystko.

— Słyszałem, że to dzielny człowiek? — badał dalej.

— Ho, przebiegła sztuka — odparłem. — Doskonały kupiec, agent różnych towarzystw... Ma agentury borówek chińskich, piór i puchu — z Rosyi, skóry, masy drzewnej, wreszcie atramentu.

— Ha, ha, ha! to dopiero! — przerwał stary, widocznie rozochocony.

Sytuacya stawała się interesującą; porywała mnie; kłamstwo po kłamstwie rodziło się w moim mózgu. Usiadłem, zapomniałem o gazecie o ważnych dokumentach, wpadłem w zapał, nie dałem staremu dokończyć zdania. Łatwowierność tego karła czyniła mnie zuchwałym; postanowiłem kłamać mu w oczy, bezczelnie, zbić go z tropu, wprowadzić w podziw tak dalece, ażeby w końcu zamilczał.

— Czy też pan słyszał o wynalazku Happolatiego, o śpiewniku elektrycznym?

— Jak? elek —

— Z literami elektrycznemi, które świecą w ciemności. Wspaniałe to przedsięwzięcie: niezliczone miliony koron w obiegu, odlewnie, drukarnie w ciągłym ruchu, zajmuje tłumy stale opłacanych techników, podobno około 700 ludzi.

— A co, czy nie mówiłem! wybełkotał. Więcej nic nie wyrzekł: wierzył w każde moje słowo, a jednak nie dziwił się. Byłem trochę rozczarowany, bo oczekiwałem, że bajki moje wywiodą go z cierpliwości.

Wymyśliłem jeszcze kilka okropnych kłamstw, plotłem duby smalone, opowiadałem, że Happolati przez 9 lat był ministrem w Persyi.

— Pan zapewne nie pojmuje, co to znaczy być ministrem? — zapytałem. To więcej, niż król u nas, prawie to samo, co sułtan, jeżeli pan wie, co to jest sułtan... Happolati ze wszystkiem dawał sobie radę i ani razu nie pośliznęła mu się noga.

Potem mówiłem o jego córce, Ylajali, czarodziejce, księżniczce, która posiadała 300 niewolnic i sypiała na łożu z róż żółtych.

— Najpiękniejsze to stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem. Bogiem się świadczę, że w życiu mojem nic podobnego nie spotkałem.

— Doprawdy? Taka ładna!? — zapytał stary. Roztargnienie malowało się na jego twarzy; oczy miał utkwione w ziemię.

— Ładna? Toż ona jest piękna, jak grzech ponętna! Oczy jak jedwab surowy, ramiona jak bursztyn. Jedno jej spojrzenie wywiera czar pocałunku; kiedy mnie czasem wołała, głos jej uderzał jak potok wina o fosfor mojej duszy? A dlaczegóż by nie miała być piękna? Czy może uważał ją za roznosiciela pieniędzy, albo za kogoś tam przy straży ogniowej? Jest piękna jak cud boży, bajecznie piękna.

— Tak, tak! — odpowiedział trochę zmieszany.

(D. c. n.).

łecznych mieliby być szczęśliwsi, niż zwykli wynalazcy? Taka jest treść rozprawy Spencerowskiej.

Uzupełnienie jej teoretyczne stanowi praca Stanleya Robertsona. Treść jej całą możemy podać w kilku słowach. Istnieją nierówności we wszechświecie, których niepodobna usunąć, np. różnica w długości dnia na różnych punktach globu ziemskiego. Nierówności i niektóre niedomagania społeczne są również takiemi żelaznemi prawami natury. Wprawdzie działając zgodnie z prawami społecznemi, udałoby się niektóre z nich złagodzić. Atoli marzyciele o tem nie chcą słyszeć. Zdaje im się, że mogą znieść wszystkie przeszkody i zniwolować społeczeństwo. Autor poddaje rozbiorowi ideał kolektywizmu, czerpiąc jego wzory z *Kwintesencyi* Schäffiego. Usiłuje wykazać, że ów ustrój grozi człowiekowi zupełną niewolą: noszeniem mundurów, mieszkaniem w koszarach i otrzymywaniem z góry wyznaczonych porcyj pożywienia.

Wielka szkoda, że autorzy wystąpili do walki z jakimiś wiatrakami i nie zadali sobie pracy poznajomienia się z naukowem wypowiedzeniem poglądów krytykowanej doktryny. Owen jeździł niegdyś po Anglii z modelami wsi przemysłowej, furierzyści zaś zasypywali Francyę rysunkami falansterów i drobiazgowymi opisami, jaki raj w nich zapanuje. Patrzcie, wołali, jak tu dobrze ludziom; przekonajcie się o wyższości tych ideałów! Toczyły się spory, co jest lepsze i sprawiedliwsze: współdziałanie, czy konkurencya. Ustrój dzisiejszy poddawano krytyce ze stanowiska „etyki“ i „logiki.“ Naturalnie, owe etyki i logiki wyglądały tak rozmaicie, ile znalazło się twórczych mózgów. Krytyka Spencera akurat byłaby wtedy na czasie, a dowodzenie jego, że niepodobna nawet przewidzieć, jak prosta maszyna będzie działała w praktyce, a tembardziej, czy ideał odpowie pokładanym nadziejom, byłoby w zgodzie ze stanowiskiem przeciwników. Od tego czasu upłynęło dużo wody i dzisiejsi kolektywiści z ironią patrzą na recepty Owenów i Furierów. Zajęli oni zgoła odmienne stanowisko, takie same, jak Spencer i Robertson. Społeczeństwo rozwija się — ich zdaniem — według niezmiennych praw, zwolna, lecz wciąż wyłaniając nowe warunki bytu materyalnego i przystosowywając do nich ustawę prawno-polityczną. W łonie dzisiejszego porządku, pod wpływem żywiołowym życia codziennego ukazują się szczególne pierwiastki rzeczowe, które narzucają centralizacyę techniczną przemysłu, zrzeszony tryb produkcyi, usunięcie pośredników handlowych, regulowanie wytwórczości. Dla przykładu dość wziąć trusty amerykańskie. Wobec tych żywiołowych dążeń życia zbiorowego stają dwie klasy społeczne: kapitalistów i najmitów. Każda życzyłaby wcielającym się w życie pierwiastkom materyalno-produkcyjnym nadać ustawę prawno-pilityczną, zgodną ze swymi interesami. Jeżeli najmici zwyciężą, uczynią to, odpowiednio do widnokręgów swego otoczenia, pod postacią kolektywizmu. Słowem, zamiast czynienia „wynalazków socyologicznych“ mamy tutaj zupełne ich odrzucenie; zamiast fantazyi widzimy próbę naukową analizy sił społecznych i wykazanie, dokąd one zmierzają i jakie zasady przewodniczyć winny walce klasowej najmitów; wreszcie zamiast rozprawiania, czy współdziałanie jest możliwe i szukania, kto w przyszłości wynosić będzie śmiecie, spostrzegamy organizowanie najmitów w partyę polityczną, która wywalcza dzisiaj coraz szersze prawa z zamiarem, aby kiedyś w przyszłości urządzić praktyczną syntezę pierwiastków rzeczowych, wcielając w życie, drogą reform, odpowiedni ustrój prawno-polityczny. Otóż w obec tego stanowiska, właściwego wszystkim społecznym demokracyom, należało Spencerowi dowieść, że owa analiza jest nieporozumieniem, że centralizacya przemysłu ze zrzeszeniem pracy jest wymysłem obcym rzeczywistości, że interes najmitów wymaga porzucenia tej działalności, gdyż ona nie doprowadzi do niczego. A tymczasem nasz filozof bawi się w zbijanie utopistów z przed pół wieku! Na właściwą metodologiczną drogę trafił dopiero Donisthorpe w swym szkicu. Jakich zasad winniśmy się trzymać przy osądzaniu dążności społecznych? — pyta on. Czy można z góry wykreślić granice działalności państwowej i swobodzie osobniczej? Nie, odpowiada słusznie, gdyż nie ma na to żadnych ogólnych a oderwanych od życia podstaw. Jedynie doświadczenie może o tem zawyrokować. Należy zwrócić się do zbadania rozwoju dziejowego i rozpatrzeć, w jakich granicach niesie on z sobą swobodę, a w jakich — wtrącanie się państwa, i na podstawie tego przewidzieć możliwe dalsze etapy. Naturalnie, w obec takiego założenia pozostawało autorowi rozpatrzeć czynniki rozwoju. Atoli mieszczańsko-ewolucyjna metoda badania nie pozwoliła mu zapuścić należycie sondy. Jeżeli wogóle probował ją zapuszczać, bo po przytoczonym tylko co ogólnym wstępie, jako *deus et machina* zjawiło się niespodziewane uwieńczenie: swoboda działalności ekonomicznej według wzorów manczesterskich jest jedynie praktycznym ideałem!

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

RUCH NAUKOWY ZA GRANICĄ.

Benoit Malon. *Le socialisme intégral.*

Autor w imieniu, jakiem doktrynę swą ochrzcił, ukrył kamyk, mający upaść na podwórze zwolenników Marksa. Jeśli bowiem on — Benoit Malon — głosi „socyalizm w pełni“ integralny, zatem doktryna tych ostatnich musi być cząstkową i ciasną; zasada zaś tej wyższości tkwić ma w rozszerzonym przez „integralistów“ widnokręgu reformy społecznej. „Nie chcemy zamykać życia w skorupie procesu ekonomicznego,“ organizacya społeczna nie jest całkowicie podporządkowaną interesom ekonomicznym, socyalizm nie jest wyłącznie doktryną ekonomiczną, obejmuje on całkowitą reformę społeczną, której dokonać nie można, jeśli nie przedsiębierze się jej odnośnie do wszystkich, wzajem na siebie oddziaływających czynników społecznych. B. Malon uznaje potrzebę ideału. Socyalizm powinien pozyskać wszystkie siły idei, potrzebni mu są filozofowie, uczeni, historycy, literaci, artyści słowem przedstawiciele wszystkich kierunków wiedzy i sztuki. Potępia on dogmatyzm sekciarski, jednostronny, a podnosi użyteczność prac, dokonywanych „równoległe“; sądzi, iż myśliciele, połączeni jednem uczuciem humanitarnem, w swych dociekaniach i wypowiadaniu idej powinni być niezależni. Chwilami jednak zdaje się, iż B. M. chwieje się w wierności dla idealizmu: na myśl tę naprowadza idea, w linii prostej od doktryny Marksa pochodząca, a którą w socyalizmie integralnym odnajdujemy, iż dochód w całości przypadać powinien robotnikowi, który skrzywdzony jest na całą wysokość przewyżki ceny sprzedażnej owoców jego pracy nad płacą, jaką otrzymuje. Doktryna „integralistów“ przechyla się więcej na stronę rozwoju i pokojowych reform, niż rewolucyi i gwałtownych przewrotów. „Strzeżmy się szaleństw sekciarskich, które sprawdziły nam już tyle złego. Społeczeństwo nie jest rękawiczką, która według życzenia daje się odwrócić na drugą stronę, przekształca się ono zwolna, racyonalnie, z dobrą ku temu wolą.“ To raczej klasowe interesy zdradzają dążności do nagłych przewrotów, których socyalizm powinien unikać, dążąc przedewszystkiem do odrodzenia umysłowego i moralnego. Nie mniej jednak reformy częściowe, jak np. kommasacya ziemi wzbudzają w autorze niechęć; sądzi, iż potrącają one o instynkty atawistyczne i kojarzą się z przestarzałymi nałogami społecznymi i umysłowymi. Autor podjął w dziele swem zadanie nader rozległe i skomplikowane. Obok cennych wskazówek i informacyj, tyczących się wydatniejszych i na czasie będących doktryn socyalistycznych, obejmuje ono historyę socyalizmu, rozwoju moralnego, rodziny, własności i państwa.

Karol Secrétan. *Le lois de l'humanite.* (Paryż, u Al-

Jest to wykład prawa przyrodzonego w zakresie tych spraw i zagadnień, które autor uważa za najpilniejsze i najbardziej palące. Ma on na widoku głównie pożądane reformy praktyczne, zarazem jednak powołuje się na zasady moralne, gdzieindziej (w *Etyce*) przez niego wypowiedziane i streszczaje we wstępie, gdzie mówi o *prawie*, jako skutku obowiązku, *swobodzie* — jako warunku, o solidarności ogólnoludzkiej i sprzeczności, jaką w sobie mieści egoizm. Dalej upomina się o prawa kobiety. Prawo nie może zostać ugruntowane w całym swym rozmiarze, ponieważ połowa ludzkości jest z pod niego wyjęta. Ludzie nie nauczą się stosować sprawiedliwości, dopóki nie powołają do użytkowania z jej dobrodziejstw tych istot, które najbardziej bezpośrednio wpływają na wychowanie moralne. Równouprawnienie kobiety jest zadaniem zasadniczem, którego rozstrzygnięcie powinno być postawione na pierwszym planie. Z kolei następuje kwestya niewolnictwa, z nią kojarzy autor pytanie o prawie kolonizacyi w krajach barbarzyńskich i rozstrzyga je bez wahania w myśl wyższości dobra ogólno-ludzkiego, jakiem jest cywilizacya, nad ograniczonem i teoretycznem prawem ludów tuziemczych. Dotykając swobody religijnej, potępia prozelityzm, posiłkujący się środkami gwałtownymi. Najwięcej miejsca w dziele Secretana zajmują sprawy ekonomiczne i polityczne. Autor odtrąca kolektywizm. Formułę jego: praca wspólna, użytkowanie indywidualne — odwraca w taki sposób: praca wolna, użytkowanie wspólne. Na swój rachunek pracować a użytkować wspólnie, jest to — nie reguła prawa, oczywiście, lecz ideał moralny do osiągnięcia. Zasadę własności prywatnej podtrzymuje w formie najbezwzględniejszej, przyswajając jej nawet prawo *niszczenia*; wyjątek stanowić może tylko ziemia. Obala tezy socyalistyczne odnośnie do płacy roboczej. Ograniczenie liczby godzin roboczych i ustanowienie *minimum* płacy, o ile zastosować się dają, — są to paliatywy. Należy z gruntu przekształcić system wynagradzania (salariat), a dla osiągnięcia tego nie trzeba zwracać się do państwa i w bardzo małej mierze liczyć na pryncypałów; wszystkiego bowiem oczekiwać i domagać się należy od inicyatywy robotników. Kwestyę tę rozwiązuje — zdaniem autora — kooperacya. Przeszkody, jakie spotyka ona na drodze swego rozwoju, są przypadkowe i przejściowe: materyalną — jest brak kapitałów, umysłową — ciemnota, moralną — brak zaufania i karności. Rola państwa w przekształceniach ekonomicznych byłaby żadna, gdybyśmy mieli na uwadze rząd idealny; państwo jednak obecne znajduje się niejako w stosunku dłużnika do tych ludzi, dla których ręce własne są jedynem oparciem. Winno im ono opiekę; ponieważ do pewnego stopnia zezwoliło na ogołocenie ich z naturalnych zasobów i źródeł utrzymania, uświęcając przywłaszczenie ziemi i wogóle wpływając na obecny podział bogactw. Na gruncie zagadnień politycznych autor okazuje się nader surowym dla demokracyi. Jednako-

wa wartość głosów wyborczych oburza go. Na ostatku dotyka sprawy powszechnego pokoju. „Prawo — to pokój.“ Kwestye narodowościowe, polityczne i społeczne znajdują się z sobą w związku najściślejszym. Najpewniejszą drogą do ustalenia pokoju jest rozstrzygnięcie sprawy społecznej.

Paul Carus. *The ethical problem.*

W trzech odczytach, które obecnie pod postacią książki na widok publiczny się ukazały, autor, nawet przy dobrych chęciach, nie mógł wszechstronnie roztrząsnąć zagadnień etyki. Strona psychologiczna została przezeń opuszczona, nie dociekа więc ani tego, jak moralność powstała, ani jakim przekształceniom ulegała. Celem jego jest wskazać zasadę obowiązku. Zdaniem autora, potrzebę ludzkości stanowi nie tyle nowa moralność, ile nowa zasada na której możnaby oprzeć moralność. Właściwością człowieka jest rozum, a użytek praktyczny, jaki on zeń wyciąga, polega na nadawaniu postaci *ideału* swym pragnieniom, zrodzonym z potrzeb. Wraz z myślą i przewidywaniem następstw czynu rodzi się w rzeczywistości etyka. Autor powtarza znaną regułę Kanta: czyń tak by zasada twego czynu przyjętą być mogła za powszechną— i staje w obronie monizmu. Rozum człowieka powinien mieć na względzie nie tylko dobro osobnika, lecz całej ludzkości, a nawet przystosowywać się do praw bytu kosmicznego. Ideał zaś, jaki człowiek stawia przed sobą, urzeczywistnia się w wszechświecie; monizm więc mieści w sobie rozwój *prawidłowy* ku temu, co jest lepsze. Z punktu zatem widzenia etyki, autor mógł by doktrynę swą nazwać „melioryzmem.“

FILOZOFIA ZBAWIENIA.

(Filip i Minna Mainländerowie).

Czytelnicy dzieła Lombrosa „Człowiek genialny“ przypomną sobie, że w rzędzie rodzin, których dzieje udowadniać mają pokrewieństwo genialności z obłąkaniem, przytacza on też Mainländerów. Filip Mainländer, autor „Filozofii zbawienia,“ powiesił się w 35 roku życia. Dziadek jego, cierpiący na manię religijną, zmarł w 31 roku; starszy brat filozofa również z własnej zginął ręki. A skoro Lombroso dowie się, że obecnie i siostra Mainländera zakończyła życie samobójstwem, upatrywać w tem będzie nowy dowód dla swej teoryi. Znajomi rodziny Mainländerów potwierdzają, że co do niej antropolog włoski nie odbiegł od prawdy. Przypatrzmy się jej nieco bliżej.

Filip Mainländer (właściwie Batz) pochodził z bogatej rodziny kupieckiej, osiedlonej w Offenbach obok Frankfurtu. Ojciec jego wychowywał go nader starannie i dogadzał wszystkim jego zachceniom. Niezadowolony z zawodu kupieckiego, Filip poświęcił się studyom literackim i filozoficznym. Wcześnie uległszy wpływowi Schopenhauera, unikał wszechnic i pozostał samoukiem; podróżował wiele i żył raczej jak magnat, niż jak asceta. Stosując się do jednej z kardynalnych zasad swej filozofii, stronił od kobiet; natomiast łączyła go przyjaźń najściślejsza z własną siostrą, Minną, którą wtajemniczył w swą filozofię i która, acz nieobdarzona talentem brata, pragnęła być jego współpracowniczką. Wspólnie też wydali pierwszą swą pracę literacką, dramat „Die Hohenstaufen.“ Główne dzieło jednak wypracował Mainländer bez uczestnictwa siostry.

„Filozofia zbawienia“ („Die Philosophie der Erlösung,“ Berlin, Th. Grieben, 1876), należy do owych rzadkich w literaturze niemieckiej dzieł filozoficznych, które pomimo iż powstały po za obrębem uniwersytetów, doczekały się poważnego uznania ze strony nauki urzędowej. Jest to praca rzadkiej śmiałości i potęgi myśli, a można ją krótko scharakteryzować jako najkonsekwentniejszy system pesymizmu. Mainländer wychodzi z Schopenhauerowskiej zasady woli (chęci) do życia, lecz zasadę tę pogłębił. Wola do życia istnieje, lecz jest ona tylko środkiem do celu ostatecznego, tj. do śmierci, gdyż osłabia jednostkę i przyspiesza jej rozkład. Mainländer w buddyzmie upatruje niedwuznaczny pesymizm, który wciela do własnego. Bóg był dawniej, lecz porzucił byt nadziemski (nadbyt) dla niebytu, a jako formę przejściową obrał byt. Powstanie świata było śmiercią Boga. Dla zdrowego myślącego człowieka występuje tu jasno pierwiastek patologiczny; cała ta teorya bowiem godna jest marzyciela kabalistycznego. Jednak trudno zaprzeczyć, że Mainländer przeprowadził myśl swoją z niezwykłą siłą logiki. Niema już bóstwa w świecie, lecz jest jeszcze tchnienie boże, które zwolna przechodzi w niebyt. Celem rozwoju świata i ludzkości jest niebyt, a prawem tego rozwoju — cierpienie. Dla jednostki zbawieniem jest śmierć. Można zbawić się i za życia, przyspieszając rozwój człowieczeństwa i żyjąc w celibacie; tym sposobem zbawia się nietylko siebie, ale i innych, którym się życia oszczędza. Najskuteczniejszym atoli środkiem zbawienia jest samobójstwo. W pracach swych Mainländer wspomniał kilkakrotnie, że skoro tęsknota jego za śmiercią wzmoże się nieco, bez wahania opuści on życie. Na razie jednak, po ogłoszeniu swego systemu czuł raczej chęć energicznego uczestniczenia w życiu, aniżeli rozstania się z niem. W politycznej części swego systemu jest on socyalistą. Porównywając się do Buddy, zamierzał wziąć udział w ruchu robotniczym. Napisał „Trzy przemowy do robotników niemieckich“ i oswiadczył siostrze, że zamyśla wystąpić niebawem na zgromadzeniach publicznych. Ale wtedy musiałby działać łącznie z Liebknechtem i Beblem oraz znosić krytykę prasy i kaprysy opinii publicznej. Na to siostra jego, usposobiona nawskróś arystokratycznie, zgodzić się nie chciała. Im bardziej zbliżała się chwila stanowcza, tem namiętniejszą stawała się opozycya Minny, która wreszcie rzuciła się do nóg brata i zawołała z rozpaczą: „tylko po trupie mym przejdziesz do demokracyi socyalnej.“ Mainländer widząc, że nie może pójść za tchnieniem ducha bożego, nie zabiwszy siostry, postanowił zakończyć własne życie i powiesił się na ręczniku, żeby i ubogich, których nie stać na kupienie rewolweru, zachęcić do samobójstwa.

Całe to postępowanie zdradza chorobliwość umysłu. Człowiek zdrowo myślący nie poświęca celu swego dla przesądu siostry, a bohater nie porzuca go, chociażby miał ją istotnie o śmierć przyprawić, tem mniej, jeżeli śmierć uważa za zbawienie. Siostra, która własne życie okupiła śmiercią genialnego brata, miała być wykonawczynią jego literackiego testamentu. Okazało się jednak, że jest nietylko „postrzeloną,“ ale niedołężną wielce. Olśniewała wszystkich wdziękiem, wymową niezwykłą, lecz przytem nie zdradzała najmniejszych zdolności praktycznych. Długie lata spędziła przy pomocy literatów nad papierami brata, wreszcie wydała drugi tom „Filozofii zbawienia,“ zrujnowawszy cały swój majątek. Wpadła w kłopoty finansowe, z których przed nikim zwierzać się nie chciała. Pewnego razu odwiedził ją zamożny pisarz austryacki, z którym oddawna korespondowała. Ujęty wdziękami, oświadczył się jej; Mainländerówna zrazu propozycyi jego nie przyjęła, trzymając się nauki brata. Następnie, ulegając świetnym widokom, zdecydowała się wyjść za niego, lecz pod warunkiem, że pozwoli jej żyć według przykazań brata; w końcu zaś cofnęła się, twierdząc, że i pozorne małżeństwo nie zgadza się z nauką brata. Zaczęło się jej tedy wieść coraz gorzej. Wstydząc się swej nędzy, opuściła miasto rodzinne Offenbach i przeniosła się do Frankfurtu, gdzie z trzech mieszkań kolejno wyprowadzać się musiała, gdyż nie płaciła komornego. Datków, które przysyłali jej znajomi w sposób dyskretny, nie naruszała, morząc się głodem. Kiedy jej wypowiedziano mieszkanie po raz ostatni, nie chciała się wyprowadzić. Wynajęto tedy pokój, aby ją zmusić do opuszczenia mieszkania. Nowy lokator wprowadził się, a panna Mainländer błagała, aby odstąpiono jej inny pokój na dni parę, aż znajdzie nowe mieszkanie. Biedni ludzie, którzy pokój wynajmowali, odstąpili jej własną sypialnię, do której Mainländerówna przeniosła swe stare meble i sprzęty. Wreszcie musiano sprowadzić policyę. Uparta kobieta, nie posiadając środków i nie mogąc wyjść na ulicę dla braku całych sukien (nigdy bowiem nie zaszywała szwów rozprutych), od dni kilku pozbawiona usługi, niemyta i nieczesana, w ostatniej chwili przywdziała starą, koronkową suknię, usiadła na łóżku przed zwierciadłem i przecięła sobie brzytwą szyję właśnie wtedy, kiedy wyłamano drzwi, aby zabrać meble i ich właścicielkę. Umarła wierna przykazaniom brata, jako dziewica i z własnej ręki. W obłąkaniu jej nie było geniuszu, jak u brata, ale była metoda

L.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Filograf, Racyonalne słówko o „Racyonalnej“ grafice polskiej. Warszawa 1891 r.

Wytrwały Filograf, o którego dwu rozprawkach pisaliśmy tu w swoim czasie, nie przestaje kołatać w sprawie niefortunnej naszej grafiki. Jest to ulubiona zabawka reformatorów, o którą ogół, wprzężony do ciężkiego wozu kłopotów i trosk, wcale się nie trapi. Rozprawy i rozprawki podobnego rodzaju, nienotowane przez prasę codzienną, przez nikogo, prócz lingwistów i filologów, nieczytywane, znikają bez śladu w masie makulatury, służącej zczasem do obwijania masła, śledzi itp. artykułów handlu. Podzielamy też najzupełniej zdanie Filografa: „Kto więc usiłuje ten stary system reformować przez pomysły radykalno-nowatorskie — mniejsza o to, czy w gotowych okazach, czy w samych tylko rozprawach podawane — temu śmiało można przypomnieć znane przysłowie: *Muru głową nie przebijesz*“ Szkoda wszakże, iż autor zasady tej nie do siebie zastosował, lecz polemizując z p. Edwardem Bogusławskim, znanym autorem „Historyi Słowian“ tudzież „Historyi Polskiej,“ wręcz tak chwalebnemu założeniu kłam zadaje. Zgadzając się z p. B. co do znaków pojedyńczych z cyrkumfleksami odwróconymi na sposób czeski *š, č, ř*, zam. *sz, cz, rz*, kwestyonuje tylko jego *b́, ć, dź, ń* zam *bi, ci, dzi, ni*, tudzież *szi, czi, rzi, ži* zam *szy, czy, rzy, ży*. Dotąd w porządku. Co do pierwszego punktu, nie dotyka on już grafiki, lecz samej fonetyki, a zatem należy do pisowni, bo czy napiszemy *b́*ały według p. B. czy *bi*ały według grafiki zwyczajnej, bądź co bądź miękkość fonetyczną spółgłoski uznajemy. Inaczej jednak będzie, gdy napiszemy *bj*ały, jak chce Filograf. Tutaj uświęcając podobną grafikę, odmawiamy miękkości poprzedzającej spółgłosce, a samogłoskę *a* po *b́* czyli graficznem bi, wynosimy do rzędu zgłosek, bo z tego właśnie *a* wytwarzamy *ja* t. j. b-ja-ły. Nie będziemy fizyologicznie rozbierać natury spółgłosek miękkich, ale przypominamy, że zgłoskowość, będąca ongi cechą grafiki kaptyckiej, zastosowana następnie do kirylicy i głagolicy, nie może być probierzem istotnej fonetyczności dźwięków słowiańskich. W owych czasach bowiem, gdy nie miano jeszcze pojęcia o lingwistyce, korzystano

wprost z gotowego materyału, zapatrując się na wzory aramejskie, koptyckie, greckie i gockie. Samogłoskę np. *u* oznaczano zapomocą *ou*, bo tak było w greckim. Ważna w dziedzinie słowiańskiej spółgłoska zwokalizowana *j* oznaczała się po prostu zapomocą *i* bez kropki, że już innych liter nie wymienimy. W grafikach południowo-słowiańskich, na które się Filograf powołuje, widzimy właśnie wpływ pomienionych alfabetów; np. njo hov konj je menj vrédan od nasega (Koń ich mniej wart od naszego) etc. W czeskim znaki *ď*, *ť* i *ň* jednolite, oznaczano dzisiaj zapomocą odwróconych cyrkumfleksów, niewątpliwie były pierwowzorami naszych liter miękkich, albowiem początek ich widzimy w ortografii Husa. Wielki ten bowiem reformator spółgłoski miękkie oznacza punkcikami, a po spółgłoskach twardych pisze *y*, po miękkich zaś *i*. W XIII w. nawet w pomnikach czeskich spółgłoskę *j* oznaczono *g i*, gdy po spółgłoskach miękkich pisano zwykle *y* (syelo = sielo, sioło) chcąc tem odróżnić znak miękczenia od właściwej j. U nas Jakób Parkosz z Żórawicy (1440 r.) spółgłoski miękkie oddzielnymi znakami wyróżnia. Stanisław Zaborowski poszedł dalej, bo po spółgłoskach miękkich kładzie dwie kropki. O dalszych tego rodzaju reprodukcyach, nie mając zamiaru pisania dziejów grafiki, zamilczymy. Z tego, cośmy przytoczyli, upada zasada tradycyjności, na której się Filograf z założenia swojego opiera, a jednak pozwalając sobie na podobne fantazye jak np. *bjały*.

Justyn Feliks Gajsler.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

24 czerwca.

Kredyt „kustarny."—Towarzystwo wstrzemięźliwości. Jubileusz prawników. — Mowa i odczyt p. Spasowicza. — Wiadomości bieżące.

Niejaki p. Sorbin w „Zgromadzeniu ekonomistów" ogłosił, że wynalazł sposób, jak wyzwolić przemysł „kustarny" (drobny) od wyzyskiwaczów: mianowicie należy za gotowe wytwory dawać majstrom pożyczkę większą, niż dają „skupczyki." Produkt sprzedany w swym czasie bez pośredniczących „kułaków" da pracującym znaczniejszy zysk i nauczy zwracać się o kredyt do przyjaznej im instytucyi. Wszystko to bardzo pięknie, zachodzi jednak pytanie, czy znajdą się miłośnicy niesienia pomocy, zadawalający się zyskiem małym lub pracujący tylko dla idei, jak to sam p. Serbin czynił... Jużci znajdą się!!

Towarzystwo wstrzemięźliwości obchodziło pierwszą rocznicę swego istnienia. Przy otwarciu miało zaledwie 50-ciu członków, przeważnie pań i panien, co dowcipnym dostarczało pola do żartów; dziś liczba członków dochodzi do sześciuset. Wprawdzie wydane w ciągu roku broszurki starają się być ludowemi, a są po prostu morałami dla trzyletniej dziatwy, lecz talenty nie zawsze wyrastają po deszczu, tymczasem dobre i to, co zrobiono.

Prawnicy święcili 25 rocznicę wprowadzenia ustaw sądowych (17-go kwietnia st. st.). Przy tej okoliczności wygłoszone zostały piękne mowy... bardziej prywatnego, niż społecznego charakteru. P. Spasowicz zaznaczył: „smucimy się, że nastały gorsze czasy: serca zczerstwiały, o miłość bliźniego nie pytaj — walka o byt pochłonęła wszystkie uczucia ludzkie. A jednak póki nie zwątpiliśmy o istnieniu dobra na ziemi — przyszłość do nas należy!.."

Zapewne z powodu tegoż jubileuszu p. Spasowicz w kwietniu, w pedagogicznem muzeum (Solanoj horodok) miał odczyty o nowszych poglądach naukowych na kwestyę poczytalności.

Była to raczej historya wniosków Ferri'ego, Lombrosa, Garofala etc. Słuchacze zadali sobie w końcu pytanie: czy prawa, na owych poglądach osnute, będą łaskawsze, czy też surowsze dla jednostki?

Słyszałem zdanie, że najwięcej słuszności ma Ferri:

— Najlepiej jest urodzonych i niepoprawnych przestępców karać śmiercią — i nie tak, jak dzisiaj, po kilka głów na rok, lecz zdziesiątkować ludność od razu i patrzeć, co potem wyniknie. Jeżeli nie wystarczy tego — bić dalej, bić do ostatka... Zamykanie na lat kilkanaście do wieży, skazywanie na samotność aż do obłędu, jest rzeczą dobrą, lecz ileż na to trzeba miejsca!

Król Dawid na takie *dictum* zawołałby w trwodze: „Panie, któż się przed Tobą ostoi!"

— Dzicy — zawołał — nie rozprawiają przynajmniej! My zaś zgnieciemy, wykrzywimy, zgubimy duszę ludzką — i czekamy, co z tego wyniknie: jeżeli człowiek kończy samobójstwem, odmawiamy mu pogrzebu na poświęconej ziemi; jeżeli zaś w rozpaczy lub obłędzie rzuci się na pierwszego z brzegu, zaczynamy go analizować, wtłaczać do kategoryi, przystosowywać do artykułów, aż zadowoleni ze swej mądrości i przenikliwości, zamkniemy go żywcem do kamiennego grobu — na wieki; i to ma być lepsze, litościwsze, niż śmierć!

A co się stało z projektem osadzania przestępców na odludnych wyspach, gdzieby mogli pracować i żyć, nie szkodząc nikomu, a przynajmniej szkodząc tylko sobie wzajem, jak i my poczciwcy codzień czynimy.

Ostrożnie panie Ferri z ideami morderstwa całych tysięców! Co się stanie, jeżeli jakiś jasnowidz oświeci nasze poczciwe dusze i powie:

— Tych także, tych także!..

Zwróćmy się gwoli odetchnienia w stronę bratniego sojuszu. Mówimy o tej pięknej miłości dla słowian, którą wobec całego świata wygłosili przed obliczem czechów francuzi. Piękne to jest i godne, szkoda jednak, że przy urządzaniu wystawy w Moskwie nie znajdowali się owi idealiści, że Francya długo porać się musiała, nim odzyskała godnych przedstawicieli swego narodu: jednego posła wycofano za brutalność, drugi okazał się szalbierzem... Powiadają zresztą, że w sprawie wystawy ten ostatni był uczciwym. Dziwna bywa na świecie uczciwość! Jużci „zależy pewno od poglądu."

Przyłączenie czechów, osiadłych na Wołyniu i w gubernii kijowskiej do kościoła wschodniego, podług gazety *Nowoje Wremia*, dąży spiesznymi krokami naprzód. Wielu młodszych wstępuje do szkół duchownych i wraca kapłanami, aby objąć posady w czeskich cerkwiach prawosławnych.

Kobiety oczekują otwarcia kursów medycyny i buchhalteryi.

Szkołą męzka przy kościele św. Katarzyny urządziła koncert na rzecz niezamożnych uczniów. Najwybitniejszą z grona artystów postacią była śpiewaczka, panna Janowska.

N. B.

Z GALICYI.

Lwów, 20 czerwca.

Krwawe igrzysko. — Bezwładna groźba kodeksu. — Trąba powietrzna.

Sport galicyjski święci niesłychane tryumfy — kiedy w Krakowie zapowiadają pierwsze „międzynarodowe" wyścigi, znudzeni hulacy lwowscy wprowadzają pierwsi publiczne mordowanie gołębi „swojskich" na torze wyścigowym hr. Cetnera. Warto przypatrzyć się bliżej temu „niebywałemu" sportowi. Wcześnie zwieziono dorożkami w koszach biedne ptactwo na plac tracenia, a „sportsmenerya" podążała za niemi. Po drodze powiodło się młodzieży oswobodzić kilka sztuk z koszów. Na placu koło trybuny wyścigowej było „rondo," obstawione policyą pod rozkazami jednego komisarza. Za trybuną umieścił się areopag znawców, a w sąsiedztwie ich 10—11 dam! Garstka publiczności, złożona wyłącznie prawie z młodzieży szkolnej, ustawiła się poza sznurem, ze współczuciem śledząc dalszy przebieg zabawy. Na komendę posłaniec wniósł kosze, napełnione gołębiami w liczbie 300 sztuk.

Jakiś obywatel wtargnął bez opłaty poza sznur i przekonał się, że gołębie mają oczy całe i nogi niepopętane. Jak słychać bowiem, policya wzbroniła kaleczenia zwierząt, praktykowanego w Ostendzie i Nizzy, godząc się na resztę widowiska. Panowie strzelcy, a było ich do 15, zapisywali się przy stole, uiszczając pewne wkładki, podobno po 1 złr. Posłaniec wydobywał gołębie po jednemu i puszczał z ręki, a strzelcy, koleją zapisu wywoływani, stając w wyznaczonym punkcie, mierzyli do wzlatających ptaków. Mnóstwo strzałów było spudłowanych. Gołębie nietrafione zwykle odlatywały. Jeden zraniony schronił się między publiczność i wpadł pod parasol pewnego młodzieńca. Odebrano go przemocą, a jakiś najęty „dżokej" uderzywszy parę razy głową ptaka o kant kosza, uśmiercił biedne stworzenie. Wogóle tym sposobem lub skręceniem szyjki dobijano w oczach publiczności wszystkie postrzelone gołębie, a takich było mnóstwo; za każdym razem z grona publiczności podnosił się krzyk oburzenia a młodsi chłopcy płakali. Od strony zaś dam, siedzących pod trybuną, dolatywał chichot, gdy który z panów spudłował. Niektóre gołębie, widocznie bardziej obyte z ludźmi, nie chciały wzlatywać i wyjęte z kosza chodziły po ziemi. Na takie posłaniec rzucał kulki drewniane i popędzał do fruwania. Kilka gołębi zastrzelono lub postrzelono na ziemi. Kilku panów, zrażonych wstrętnym widokiem, chociaż opłacili haracz wstępu przedsiębiorcom, zaraz z początku opuściło miejsce, nie mogąc dłużej być świadkami okrucieństwa. Policya parę razy rozpędzała „spektatorów." Mimo regulaminu francuskiego, z 7 punktów złożonego a zabraniającego pod grzywną 50 złr. obracać strzelby w stronę publiczności, któryś z bohaterów dopuścił się tego i szrut przeleciał koło głowy jednego studenta. Po skończonej hecy o godzinie 5 nastąpiła wypłata nagród. Nazwiska „premiantów" nie są nam znane. Ogłosi je zapewne *Gazeta lwowska*, która w sobotę pierwsza zapowiedziała ten niebywały we Lwowie sport szlachetny i uszlachetniający uczucia ludzkie. Ogółem padło lub rękami w oczach publiczności dobito około 100 gołębi, 78 zdołało szczęśliwie uciec. Resztę zachowali przedsiębiorcy na później, aby powtórzyć ćwiczenia. Oto wierny obraz faktu. Ani słówkiem uwagi z naszej strony nie chcemy mącić wrażeń publiczności. Przypominamy tylko, że nawet kodeks austryacki zakazuje tego rodzaju widowisk. Artykuł odnośny brzmi dosłownie: „Kto publicznie dręczy zwierzęta w sposób zgorszenie wywołujący, karany ma być przez władzę polityczną." Niestety ustawy austryackie nie obowiązują wykonawców galicyjskich, tem bardziej, że najwyższa władza polityczna c. k. namiestnictwo składa się z samych sportsmenów z hr. Badenim na czele. Pomimo „rekursów" i podań zezwoliło namiestnictwo na powtórzenie sportu z gołębiami. Szczęściem *Tir aux pigeons*, czyli jak mówią „francuzy" galicyjskie *de pigeons* nie udało się się. Murat, przedsiębiorca tej zabawy, któremu towarzyszy jakaś tajemnicza dama, zdołał wywieść z hotelu Żoża tylko kilkunastu paniczów, a z tego zastępu tylko 4 znalazło fantazyę

urągać obrażonemu uczuciu całego miasta i zażyć flint na wyniesione z baraku wyścigowego gołębie, które były tak wygłodzone, że nie mogły już nawet podlatywać. Władzę, obowiązaną do czuwania nad wykonywaniem ustaw, wyręczyła Opatrzność zsyłając taką nawałnicę z gromami, że panicze musieli jak niepyszni zaniechać dalszej rozrywki.

Towarzystwo ochrony zwierząt na samą wiadomość o tej krwawej igraszce wniosło zaraz protest. Zajmującym atoli jest szczegół, że podanie do namiestnictwa ze strony prezesa sportowego o pozwolenie strzelania gołębi wystosował adwokat, będący członkiem tegoż Towarzystwa ochrony zwierząt. Nadmieniamy, że tor wyścigowy jest zewsząd otwarty. Naokoło chodzą lub pracują w polu ludzie i o wypadek nietrudno, zwłaszcza ze strony takich strzelców, którzy znają się tylko na „szlagierach“ w Macao. Wypadkiem pokrzywdzony — będzie szukał wiatru w polu. Rada miasta Lwowa odstępując grunt wyłącznie tylko na tor wyścigowy, a nie na mordownię gołębi, zaprotestowała przeciwko jego nadużywaniu do barbarzyńskich igrzysk, opłacanych haraczem do kabzy spekulanta zagranicznego — „Bookmakera“ Murata. Nawet stary Małecki, skreśliwszy w dobitnych wyrazach powszechne zgorszenie i nadużycia towarzystwa chowu koni, wniósł, aby „prezydent miasta poczynił wszystkie kroki możliwe, wynikające z ustawy obowiązującej celem pociągnięcia do odpowiedzialności winnych.“ Rada gminna uchwaliła *jednogłośnie* wniosek Małeckiego. Ale jest to wobec wysokiego c. k. namiestnictwa kiwanie palcem w bucie.

Przy totalizatorze stała po raz pierwszy straż skarbowa dla kontrolowania dochodu, z którego ściąga rząd 5 proc. Ciekawi jesteśmy, czy i p. Murat, który urządza barbarzyństwo z gołębiami i gruby hazard na wyścigach — jest także opodatkowany. Nie widzieliśmy przy nim żadnego strażnika. Sprawdza się przysłowie niemieckie: „Kleine Diebe hängt man, grosse lässt man laufen.

Od tych wybryków zblazowanych panów i półpanków galicyjskich, jakże jaskrawo odbija nędza najświeższego rodzaju, jaka nawiedziła i nawiedza biedną prowincyę. Mam tu na myśli klęski atmosferyczne. Miesiąc czerwiec, dobiegający do końca, będzie długie lata pamiętny naszemu krajowi, jako pora niesłychanych dotychczas burz. Pierwszy to raz kraj nasz jest widownią gwałtownych cyklonów, czyli trąb powietrznych, powstających zazwyczaj w okolicach, gdzie stosunki atmosferyczne przedstawiają wielkie przeciwieństwa. Gorący maj i napływający w czerwcu potężny prąd zimny z północy przy sprzyjających (niestety) warunkach klimatycznych naszego kraju wywołał te zjawiska, które znaczą ślad swój zniszczeniem, głównie w północno-wschodniej Galicyi. Oto, co piszą do *Nowej Reformy* o katastrofie w Podkamieniu: O godzinie 6 dał się słyszeć szum w powietrzu, zerwał się gwałtowny wicher i przez 5 minut już nic nie było widać, ani słychać, prócz wzmagającej się ciemności trzeszczenia wiązań dachu i wycia wichru. Czas trwania huraganu tak krótki wystarczył na sprowadzenie takiego zniszczenia, jakiego nawet pogorzel możeby nie spowodowała. Ulice i rynek formalnie zasłane słomą z dachów, kawałkami blachy, mnóstwem gontów. Kilkanaście budowli jest zupełnie zniszczonych, gdzieindziej sterczą tylko ściany i kominy. W miejscowym klasztorze o.o. Dominikanów huragan zerwał w całości dach z jednego skrzydła klasztoru, również i wiązanie dachu a odłamy przeniósł nad dwoma równoległymi skrzydłami do ogrodu klasztoru, gdzie kilka belek o średnicy do 20 cm. wbił na jaki metr lub może więcej w ziemię tak, że sterczą w niej ukośnie. W alei, prowadzącej z miasta do pałacu właściciela Podkamienia, wyrwał wicher 39 topól z korzeniami. W lasach leżą pokotem powyrywane dęby i buki, tak grube, że dwóch lub trzech ludzi zaledwie mogło jeden objąć. Obecnie słychać tylko płacz i narzekania — rozpaczliwem jest położenie sadowników, których żelazny kapitał stracony, drzewa owocowe bowiem zupełnie z korzeniami powyrywano, a te ich żywiły i utrzymywały. Podobnemu zniszczeniu uległy inne wsie. „Pióro z rąk wypada na samo wspomnienie — pisze inny korespondent — jak okropny widok oczom się przedstawił — istne piekło. Niema jednego budynku we wsi, któryby nie był zniszczony, a co tylko było żyjącego w owej chwili na dworze, legło trupem, zamienione w jedną bezkształtną masę. Na razie po przejściu burzy znaleziono 6 osób zabitych, nie do poznania pokaleczonych a śmiertelnie poranionych jest bardzo dużo. Koni, bydła, owiec kilkadziesiąt sztuk zginęło, a gęsi i kaczki nie wiedzieć, gdzie się podziały. Najstarsze drzewa z korzeniami wicher powyrywał i niósł o kilkanaście metrów, a jadących wozami miażdżył; osie żelazne jak zapałki łamał. Uwierzyć nawet trudno, a przecież jest to prawdziwe, że jednego konia wyrwał wicher z zaprzęgu i uniósł ponad domy jak ptaka, a dziś nikt go odszukać nie może; ludźmi pomiatał jak pierzem w powietrzu. Niepodobna dokładnie wszystkiego opisać, gdyż lament, płacz i krzyk całej gminy nie da się myślom uspokoić. Słowem, niema prawie człowieka, któryby nie poniósł szkody większej lub mniejszej. Zdawało się, że nadszedł prawdziwy koniec świata. Biedni w rozpaczy wyciągają ręce do serc miłosiernych, prosząc o pomoc.“ Oto co podaje korespondent z gminy „Czechy“ o szalejącym huraganie. Piekielny ten taniec trwał wszystkiego około 5 minut, ale sprawił ogromne szkody. Przeszło 80 budynków leży w gruzach, wszystkie inne bez wyjątku uszkodzone. Drzewa niemal wszystkie wyrwano z korzeniami. I bydło nie uszło katastrofy. Wieś wygląda jak po pożarze. Straty obliczono na kilkanaście tysięcy złr. Słupy telegraficzne przy kolei powyrywane. Troje dzieci i starszy człowiek polowy utracili życie wskutek burzy. Chaty nietylko dachy mają pozrywane, lecz niektóre całkiem wicher powalił. O strasznym orkanie, poprzedzonym gradem wielkości kurzych jaj, pisze korespondent *Kuryera lwowskiego* z Dyczkowia: Rozhulał się tu orkan na dobre, obalając i niszcząc, co tylko na drodze napotkał; więcej niż 20 chat włościańskich przemienił w kupę gruzów, przyczem, oprócz licznych wypadków pokaleczenia, zostało zabite 4 letnie dziecko. Największe jednak spustoszenia poczynił wicher na obszarze dworskim. Dom dzierżawcy i oficyalistów, a nawet murowane budynki gospodarskie przemieniły się w jednej chwili na gruzy. O ratunku jakimkolwiek ani mowy być nie mogło; sześć koni i mnóstwo owiec zostało uduszonych przez spadające kamienie i belki. W lesie na znacznej przestrzeni; drzewa połamane lub wyrwane z korzeniami w polu straszne spustoszenie nie tyle przez grad, ile przez burzę. Poszkodowani załamują tylko ręce, niewiedząc, jak sobie radzić. I tak już cierpią z powodu ciężkiego przednówku a teraz gdy i bez dachu pozostali, są w opłakanem położeniu. W Starem mieście straszny grad z wichrem i deszczem zniszczył doszczętnie plony ozime i jare, jarzyny i sady. Pola wyglądają jak w grudniu. „Nędza straszna — pisze korespontent tamtejszy — z powodu tej klęski, a pomoc niezbędna i to najrychlejsza, bo nie tylko gospodarze, ale i właściciele więksi i mniejsi postradali cały majątek; sami też pomocy ludowi dać nie mogą, a co później będzie i czem przyjdzie obsiewać w jesieni, to jednemu Bogu tylko wiadomo. Wszyscy ręce łamiemy i stoimy bezradni wobec tego okropnego nieszczęścia. Co najwyżej spodziewamy się zmniejszenia podatków choć w części, a co damy jeść rodzinom naszym, bydłu i najemnikom, o tem nikt niema pojęcia. Głód zagraża nam wszystkim w całem tego słowa znaczeniu. Grad zabił 3 ludzi, kilka sztuk bydła, mnóstwo drobiu i ptactwa. Kończąc, przepraszam, iż może bez związku kreślę te wyrazy, ale sam dotknięty klęską, myśli zebrać nie mogę. Wczoraj jako tako finansowo stojący — dziś jestem dziadem.“ O zburzeniu wsi Ponikury w powiecie brodzkim umieściła *Hałyckaja Ruś* straszne sprawozdanie.

Dnia 19 b. m. około godz. 6 popołudniu nawiedziła Ponikurę trąba powietrzna. Z niezwykłą siłą uderzyła w drzwi cerkwi, otworzyła je i nawet zgięła, następnie zerwała drewniany wierzch cerkwi z blaszanym dachem i krzyżem, który ważył około 3 cetnarów, zabrała ogromny świecznik, wszystko to podjęła wysoko w górę i poniosła w świat, tak że dotychczas nie wiadomo, gdzie to upadło. Blacha z dachu porozrzucana wszędzie. We wsi o milę odległej od wsi Ponikury zebrali ludzie 3 wozy tej blachy. Z wnętrza cerkwi zabrał wicher wszystko prawie: na ikonostasie nie ma ani jednego obrazu. Szkody wynoszą 15 — 20 tysięcy złr. Okna i drzwi na plebanii porozbijane, sufity zawalono. Ze spichlerza, w którem znajdowało się zboże, pozostała tylko podłoga, stajnia bez dachu, a z innych budynków niema ani śladu.“ Do jednej chałupy w Szarowoli trąba powietrzna wpadła przez okno, wyrwała drzwi, następnie sufit z dachem i nawet ściany, tak że pozostały tylko słupy, a z wewnętrznego urządzenia tylko ławy, pod któremi znaleźli schronienie mieszkańcy chaty. U Mikołaja Hrycyszyna wpadł huragan przez okno, zabrał sufit z belkami i z całym dachem. W suficie wbity był potężny gwóźdź, na którym wisiała kołyska. Właśnie w tej chwili żona Hrycyszyna kołysała maleńkie dziecko. Strwożona burzą zaczyna się modlić, gdy nagle kołyska z dzieckiem gdzieś zniknęła. Kobieta wybiega na dwór, ale nic nie dostrzegła. Rzucili się ludzie z pomocą rozpaczliwej matce, zaczęli szukać i w odległości 40 sążni znaleźli kołyskę, wiszącą na pochyłej śliwie. Dziecię jednak znajdowało się 10—12 sążni w kałuży, poczerniałe jak węgiel, martwe... Sufit leżał daleko na polach pod lasem, dach rozniesiony częściami, a z chaty pozostały tylko słupy. Wszystkich budynków zburzonych do gruntu jest 106, pochylonych przez huragan około 60, a bez dachów kilkanaście. Drzewa przeważnie połamane lub z korzeniem powyrywane. Strach nawet patrzeć na tę ruinę wsi. Sterczące pnie drzew tu i owdzie pokryte blachą z dachu cerkiewnego. Straty wynoszą około 150,000 złr. Ogrody i pola usłane słomą, dylami i belkami, drzewami, blachą, rośliny wyglądają jak obskubane z liści, cebula, czosnek i wszelkie jarzyny w ogrodach przepadły bez śladu. Mieszkańcy Ponikury dotychczas nie ochłonęli z przestrachu. Włóczą się jak cienie w niemem milczeniu pomiędzy zwaliskami i z rozpaczą wznoszą ręce do niebios. Nie ominął huragan i pałacu pańskiego. W sadzie wszystkie, nawet 100 letnie drzewa leżą powywracane lub połamane; zawaliły sobą cały sad tak, że przejść niepodobna. Pałac silnie uszkodzony. Za naprawę żądają 15,000 złr. Między topolami znaleziono po burzy trupa dworskiego polowego. Padająca topola wycisnęła mu mózg z głowy i wnętrzności z brzucha. Po drodze burza porwała żyda i rzuciła nim o kamień tak, że sobie wybił oko, inny człowiek stracił ucho, a troje ludzi zginęło pod gruzami chałup.

Beta.

K A R T K I.

Nowy środek robienia majątków. Filantropia angielska ma kłopot niełada, mianowicie jak postąpić względem coraz bardziej szerzącego się zwyczaju ubezpieczania dzieci w odpowie-

dnich instytucyach. Rodzice zrobili z ubezpieczenia pewnego rodzaju nader korzystny dla siebie, lecz jednocześnie nader plugawy *business*. Zjawiają się poszlaki, że wiele rodziców ubezpiecza swe dzieci w jednym tylko celu — usunięcia ich ze świata i zabrania odpowiedniej sumy. Obliczają liczbę ofiar tego *businessu* blizko na tysiąc rocznie. Sprawę wniesiono do Izby lordów.

Projekt doktora amerykańskiego. Konkurencya zawodowa stwarza ciekawe stosunki. Narzekamy, że w guberonialnych miastach naszego kraju adwokaci i doktorzy mają swoich żydków-faktorów, zyskujących dla nich klientelę. Jednak „Daleki zachód“ poszedł jeszcze dalej. Pewien doktór z Arkansasu wniósł świeżo projekt do prawa, żądający, aby odbierano spełnianie obowiązków tym medykom, którzy ułatwiali spędzanie płodów, za pomocą afiszów na rogach ulic obiecywali wyleczenie chorób nieuleczalnych, pobierali honoraryum z góry itp. Sztuka lekarska w całej pełni stała się zwykłym sklepikiem i doktór otwarcie przyznaje się, że nie jest kapłanem, lecz przedsiębiorcą. Szczerość ta może jest lepszą, niż obłudne drapowanie się w cnotę obywatelską.

Aklimatyzacya we Francyi nowych zwierząt. Tegoroczne mrozy sprawiły w ogrodach zoologicznych Europy mnóstwo szkód. Zwłaszcza paryski poniósł masę strat, dzięki temu, że jako jeden z dawniejszych posługiwał się dotąd przestarzałymi sposobami ogrzewania schronień i przechowywania swoich wychowańców przez zimę. Lecz jednocześnie wykazało się, że niektóre gatunki przewybornie wytrzymały mrozy, chociaż ze swojem potomstwem znajdowały się wciąż na otwartem lub prawie otwartem powietrzu. Tutaj należy przedewszystkiem antylopa *Connochotes gnu*, pochodząca z Afryki południowej i już od 1882 rozradzająca się w paryskim ogrodzie Muzeum zoologicznego. Podczas zimy jedynie szerść zyskala nową warstwę; podobnie próbę wytrzymała antylopa *Portax pictu* i *cervicapre* z Indyj przedgangesowych, oraz kilka pokrewnych gatunków z Cejlonu i Chin południowych. Nadto niektóre z nich wykazały podobne zalety w innych ogrodach i zakładach zoologicznych. Milne-Edwards z tego powodu uczynił przedstawienie Akademii francuskiej nauk o zupełnej możności zaaklimatyzowania tych zwierząt we Francyi. Prezydent rzeczypospolitej francuskiej przystał na projekt. Polecono leśnictwu S. Germain i Marly puścić do zwierzyńców miejscowych potomstwo gatunków, przeznaczonych do aklimatyzacyi, zrodzone już we Francyi.

Arbor day w Ameryce północnej. Dla zadrzewienia kraju w Związku północno-amerykańskim istnieje od pewnego czasu narodowa doroczna uroczystość, znana pod nazwą „święta drzew.“ Ogół zostaje wezwany, aby raz do roku, w oznaczony dzień, każdy obywatel kraju zechciał posadzić chociażby jedno drzewko. *Arbor day* nie pozostał czczą a bezużyteczną uroczystością. W jednej Nebrasce od 1882 w dniu tym posadzono 355,560,000 drzew leśnych lub owocowych. Odwołanie się do uczuć obywatelskich wydało owoce większe, niż niejedno rozporządzenie policyjne.

Strychnina, stosowana niegdyś w leczeniu pijaństwa, później zarzucona, obecnie znowu występuje jako środek przeciw temu nałogowi. Jak się dowiadujemy z *Deutsche Mediz. Wochenschrift*, doktór ruski Portugałow, prowadzący doświadczenia z tym środkiem, od r. 1887 otrzymał 455 wypadków pomyślnych. Alkoholicy szybko objawiali wstręt do wódki, a tej odrazie nie towarzyszyły zwykłe przy odzwyczajaniu się objawy niepokoju, zaburzeń żołądkowych, wyczerpania itd. Strychninę w roztworze siarczanym zastrzykiwano pod skórę.

PAMIĘTNIK.

Emigracya żydowska.

Z ulg na granicy w swobodzie powrotu według rozporządzenia władzy wyłączeni zostali żydzi, których pozwolono wpuszczać o tyle jedynie, o ile posiadają formalne paszporty. Zdaje się wszakże, iż to wyłączenie zastosowane będzie w bardzo niewielu wypadkach. Jak bowiem donoszą pisma łącznie z Warsz. *Dniewnikiem*, potok emigracyjny żydów z Rosyi przez granicę zachodnią płynie ustawicznie i coraz większemi falami. Przeważnie są oni zaopatrzeni w paszporty. Prąd ten nie ma stałego ujścia, lecz rozgałęzia się z Niemiec w rozmaitych kierunkach. W Prusach na linii jego biegu współwyznawcy emigrantów utworzyli komitety, które ich zaopatrują w żywność, odzież i pieniądze. Nietylko statystyka, ale również polityka radaby dokładnie wiedzieć, ilu żydów przewędruje na zachód, ale ten ruch w ścisłe cyfry ująć się nie da. To tylko pewne, że nigdy on nie przybrał takich rozmiarów, jak obecnie. *W.*

Wyścigi międzynarodowe.

Tylko dziwić się można, dlaczego dopiero teraz urządzono w Krakowie „międzynarodowe“ wyścigi. Przecież Warszawa, chociaż znacznie większa, powinna była upewnić galicyan, że to widowisko im się nieźle uda. Kraków jest za mały na to, ażeby zgromadzić 200 słuchaczów nawet na najwymowniejszą i z najwytworniejszemi minami wypowiedzianą prelekcyę hr. Tarnowskiego; za mały na to, ażeby utrzymał nawet najpobożniejszą gazetę; za mały na to, ażeby pomieścić mógł pomnik człowieka większego, niż twórca plantów, ale dość wielki na to, ażeby posiadał „międzynarodowe wyścigi“ z natychmiastową rozprzedażą wszystkich biletów. „Napływ gości olbrzymi,“ „mieszkań w hotelach brak,“ „nie radzimy przyjeżdżać“ — takie wiadomości nadbiegały do nas w ostatnich dniach, poprzedzających uroczystość. Nie było rady — pisma warszawskie musiały wysłać specyalnych korespondentów i co prędzej uwiadomić nas, że „Kate,“ czy „St. Gellort,“ „Aspirant“ czy też „Dorubusz“ prędzej doleciały do mety. Okazało się, że głównym zwycięzcą był tryumfator z toru warszawskiego niezwyciężony „Cadi.“ Z jednej strony jest to dla nas bardzo smutne, że obok niego nie stanął godnie drugi bohater spółczesny, ale z drugiej bardzo pocieszające, że ten tak podrósł w sławie *). Mając „Cadiego,“ możemy śmiało spoglądać w przyszłość i powiedzieć sobie: chyba świat mało widział rzeczy, które by go bardziej zdumiewały, niż krakowiacy, urządzający „międzynarodowe wyścigi.“ *K.*

Kolej Nadwiślańska.

W Petersburgu odbyło się zebranie akcyonaryuszów drogi Nadwiślańskiej, na którem, w miejsce zmarłego Halperta, wybrano wiceprezesem p. S. Kossutha, dotychczasowego dyrektora zakładów Żyrardowskich. Na kandydatów do zarządu powołano między innymi także pp. Wł. Kozłowskiego (b. dyrektora kolei Warszawsko-Wiedeńskiej) i... E. Piltza. Nie potrzebujemy zapewniać czytelników naszych, że ten ostatni będzie główną ozdobą tego grona. Dziwny obrót koła Fortuny! Czy też ktokolwiek spodziewał się przed 11 laty, kiedy p. Piltz opuszczał służbę kolejową, że tenże sam p. Piltz będzie kiedykolwiek członkiem zarządu jakiejkolwiek kolei? *O tempora, o mores!* *P.*

Za granicę.

Gorąco, straszliwe gorąco! Niebo wprost nie rozumie tego „złotego środka“ i „zdrowego postępu“ tych „umiarkowanych kierunków,“ matematycznie równooddalonych od wszelkiej krańcowości, jakie my uprawiamy i zalecamy w naszej prasie. Albo mrozi chłodem i siecze deszczami, albo pali żarem. Nic to nie obchodzi szczęśliwych (a jest ich między nami co najmniej połowa), którzy przed skwarami letnimi uciekają w góry, nad morze, do wód. Inni tem bardziej cierpią, że również wyjechaćby chcieli... za granicę. Koniecznie — za granicę, bo tam dopiero czujemy się zadowoleni. Spytajcie na wiosnę letnich podróżników, dokąd podążą: nie wiedzą, namyślą się... Albo do Ostendy, albo do Zakopanego, albo do Karlsbadu, albo do Soboty (ażeby ktoś nie pomyślał, że miejscowość ta leży w kraju, mówi się: Zoppot). Byle tylko za granicę! Próbowano zrobić coś modnego z Nowego Miasta, Ojcowa, Sławuty, Druskiennik — nie udało się. Było tam ludziom nieźle lub dobrze, niektórzy nawet leczyli się, ale to zawsze nie zagranica. Wiecznie stare i biedne dzieci, których ani wiedza, ani przykład nie doprowadzą do dojrzałości. Och, kiedy my się pozbędziemy tej głodnej fanfaronady, pustego blichtru, łachmanowego szyku! Czyż nas los jeszcze nie dosyć nauczył! *V.*

*) Według ostatnich doniesień uszczknął mu listek z wieńca sławy inny jakiś czworonóg.

Potrzebna szkoła.

We wszystkich poważnych umysłach odzywa się ciągle potrzeba wypełnienia łańcucha pracy społecznej ogniwami pośredniemi. Mamy uczonych pomologów, techników, inżenierów agronomów na jednym końcu, czerń roboczą — na drugim, ale ciągle nam brak zwyczajnych ogrodników, werkmajstrów, ekonomów itd. Wykształcić się zaś możemy tylko zapomocą niższych i średnich szkół zawodowych, których dotąd brak. Częściowo ma go wypełnić szkoła ogrodnicza p. Zawady w Częstochowie, która wkrótce będzie otwarta. Dopiero po owocach — jak radzi Pismo — poznamy ją. Tymczasem zaznaczamy już bardzo obfity napływ do niej kandydatów, co — niezależnie od wartości zakładu — jest objawem społecznym bardzo pocieszającym. Rozumienie ważności ogrodownictwa postępuje u nas ciągle, chęć rozwijania tej gałęzi wzrasta szybko, warsztaty do pracy są już gotowe, ale nie ma ludzi, którzy by to pole zajęli z powodzeniem i pożytkiem. Posiadamy albo ogrodników wysokiej miary, albo prostaków niedbałych i nieudolnych. Oby nam pracowników sumiennych i biegłych wychowała jak najwięcej szkoła częstochowska! *Z.*

Fałszywe stemple.

Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy* z procesu, rozstrzygniętego w Essenie, a wytoczonego jednemu z redaktorów niemieckich przez członków „Związku bochumskiego“ o potwarz, wydobył się niespodziewanie fakt, że Związek ten, posiadający słynne odlewnie i walcownie żelaza, podrabiał stemple komisarzów, którymi znaczył szyny wadliwe i odrzucone, mieszając je do dobrych i przyjętych. Późniejsze wyjaśnienia w prasie przedstawiły spis tych kolei, które on swymi wyrobami uszczęśliwiał i oszukiwał. Między niemi znalazły się również nasze. Nie wiemy, czy i w jakim stopniu zapomocą fałszywych stempli wetknięto im zły towar, a ponieważ w ostatnich latach nie mieliśmy prawie wypadków na drogach żelaznych, więc nie możemy rzucać podejrzenia bez dowodów nawet pośrednich. W każdym razie zarządy kolejowe powinny z tego odkrycia wyciągnąć dla siebie przestrogę. Kiedy kompetentny znawca Roulcaux, powróciwszy do Berlina z wystawy paryskiej, zawarł swoją porównawczą krytykę przemysłu niemieckiego w dwu wyrazach: *schlecht und billig* — źle a tanio — Germania krzyknęła z rozpaczliwą zgrozą na swego wyrodnego syna, który znieważa i gubi dobre imię wyrobów rodzimych. Spodziewano się wówczas zmniejszenia odbytu na rynkach świata dla przemysłu niemieckiego — co też istotnie nastąpiło. Wkrótce jednak zapomniano o klątwie zbyt szczerego prusaka, którą teraz dopiero wskrzesiła w pamięci ogólnej sprawa z szynami. Niemcy lękają się, azeby temu towarowi nie zamknięto miejsc zbytu w Europie. Obawa to najzupełniej słuszna,

a ostrożność ze strony dotychczasowych odbiorców konieczna. Bo jeżeli sami niemcy doradzają zarządom swych dróg żelaznych baczność względem „Związku bochumskiego," to tem więcej my ją sobie zalecać powinniśmy. Unikajmy przeto walcowni bochumskich i ich fałszywych stempli. Nadużycie, jak każda czynność, rodzi nałogi. Więc chociaż po wykryciu oszustwa, zapewne w tej samej formie już ono się nie powtórzy, ale uśpiwszy czujność, może przybrać inną, bezpieczniejszą dla siebie postać. *P.*

Zachęta do sporu.

Kuryer warszawski ogłosił, że dr. Windakiewicz odnalazł w rękopisach biblioteki krakowskiej 5-aktową tragedyę J. Kochanowskiego p. t. „Admetus rex." Rozgniewało to doniesienie Estreichera, który jako główny zarządca księgozbioru Jagiellońskiego i bibliograf musi być bardzo czuły w punkcie wiedzy o tego rodzaju zabytkach. Zaprzeczył więc w *Gazecie lwowskiej*, objaśniając, że ów rękopis należy do zbioru dyalogów szkolnych, a zawiera urywek z aktu I tragedyi Euripidesa wraz z dodatkiem oryginalnym, który przypisywany jest jakiemuś autorowi z XVII w. lub też Kochanowskiemu. Po tem sprostowaniu dzienniki powołują badaczów literatury w szranki dla rozstrzygnięcia sporu, po którym spodziewają się „ciekawych plonów." Co to mają być za „plony" — nawet w przybliżeniu nie odgadujemy. Bo gdyby nawet ta garstka wierszy, dołączonych do kawałka tragedyi Euripidesa, rzeczywiście wyszła z pod pióra Kochanowskiego, to przecie nie może ona stanowić nabytku cennego już przez to samo, że była przeznaczona dla widowisk szkolnych. Nie błyszczą zaś w niej widocznie klejnoty, skoro ani Wisłocki, ani Kraszewski, którzy rękopis znali, nie uważali za stosowne go przedrukować. Pojmujemy najzupełniej cześć dla okruszyn twórczości wielkich ludzi, ale w znacznej części zmarnowanymi wydają nam się trudy, łożone na rozstrzygnięcie wątpliwego pochodzenia i zagadkowej autentyczności drobiazgów. Ileż to mozolnej pracy, poszukiwań, zabiegów, wysiłków domyślności i zaciekłych roznamiętnień przepada nieraz w sporach o kilka wierszy lub utworek bez znaczenia! To już nie badanie naukowe, ale sport krytyczny. Nic nie mamy przeciw temu, jeżeli ktoś zdoła orzec, czy w dyalogu „Admetus rex" tkwi jakaś cząstka twórczości Kochanowskiego, ale nie myślimy dla tej sprawy zwoływać pospolitego ruszenia znawców języka i literatury, a wcale nas to nie zgnębi, jeżeli zagadka pozostanie nierozwiązaną. Mamy inne, daleko ważniejsze i pilniejsze zadania w historyi piśmiennictwa naszego — te trzeba podjąć i spełnić. *O.*

KRONIKA.

Powrót wychodźców. Wyprawiona tedy przez ks. Chełmickiego partya emigrantów przybyła już do kraju i rozwieziona została do miejsc zamieszkania. Dopiero później dowiemy się, co oni o swych losach opowiadają i o udzielonym ratunku sądzą, a zwłaszcza jaki wpływ wywrą na swe otoczenie. Zapewne będzie to wpływ pożądany, gdyż cofnęła się z drogi i przyłączyła do nich w Bremie część wychodźców, zamierzających jechać do Brazylii.

Sprawy społeczne. Departament lekarski opracował przepisy, obowiązujące fabrykantów do natychmiastowego składania raportów o najdrobniejszych wypadkach z robotnikami w obrębie fabryki. Władza lekarska przekonała się, iż nieraz z obawy odpowiedzialności fabrykanci starają się ukryć drobniejsze wypadki, skutkiem czego dla braku pomocy umiejętnej robotnicy pomimo mniejszych wypadków stają się kalekami (*Dzienniki petersburskie*).

— Postanowiono położyć nacisk na podniesienie poziomu wiedzy farmaceutów i — dopuścić wszędzie kobiety do pracy aptekarskiej.

— Hamburska kompania żeglugi parowej zaleciła swoim agentom europejskim, iżby nie sprzedawali do Ameryki biletów anarchistom lub osobom, które według praw amerykańskich nie mają wstępu na ląd tamtejszy.

— Zmarła niedawno Julianna z Bartoszewskich Kossowska, zapisała 22,500 rs. dla schronienia paralityków i takąż sumę dla starców i ociemniałych (*Kur. warsz.*).

— *Warsz. Dniew.* donosi o bezrobociu dorożkarzy w Lublinie. Głównych podżegaczy aresztowano.

— Towarzystwo tramwajowe w Petersburgu ma zbudować dla swej służby dom wzorowy, w którym mieścić się będzie szkoła dla dzieci, szpital i tania kuchnia.

Szkoły. Na mocy ogłoszonej świeżo ustawy będą istnieć na przyszłość dwa stopnie naukowe: *dentysty* i *lekarza-dentysty*. Dla przysposobienia ostatnich mogą być zakładane kosztem osób, posiadających stopnie naukowe, szkoły dentystyczne z kursem 2½ letnim, pod bezpośrednią kontrolą miejscowego inspektora lekarskiego i zależne od ministeryum spraw wewnętrznych. Do zakładów tych będą przyjmowani ci, którzy ukończyli przynajmniej 6 klas gimnazyum. Po skończeniu szkoły dentystycznej i zdaniu egzaminu przed komisyą uniwersytecką lub wojennej Akademii lekarskiej, przyznawany będzie stopień *lekarza-dentysty*. Dla otrzymania stopnia *dentysty* obowiązują dotychczasowe rozporządzenia. Do tej gałęzi nauki mogą być dopuszczone kobiety. Kierownikami szkół powyższych mogą być osoby, które ukończyły całkowity kurs średniego zakładu naukowego, profesorami zaś — posiadacze stopni naukowych. Zakłady te zaliczono do pierwszorzędnych szkół prywatnych. Pod względem powinności wojskowej, ci, którzy ukończyli 5 semestrów i złożyli odpowiedni egzamin — posiadają ulgi 2-go rzędu, posiadający zaś świadectwa z 2-ch semestrów — ulgi 3-go rzędu.

Prasa. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zabroniono wychodzącemu w Warszawie *Kuryerowi porannemu* drukować ogłoszenia prywatne przez trzy miesiące.

Teatr letni wystawił znaną sztukę Przybylskiego „Dwór w Wiadkowicach."

Sprawy kolejowe. *Now. Wr.* donosi, iż grupa wielkich kapitalistów proponuje połączenie koleją niziny Dźwiny północnej z krajem Kamskim i Syberyą zachodnią przez Soswę i Wyczegdę. Długość linii wynosić ma 526 wiorst.

— Na kolei Fabryczno-Łódzkiej wprowadzono bilety powrotne z Łodzi do Jędrzejowa po cenie o połowę zniżonej.

— Pod wpływem katastrofy pod Mönchesteinem generalna inspekcya kolei austryackich nakazała jaknajspieszniejszą i najdokładniejszą rewizyę wszystkich mostów i przedmiotów, poręczających bezpieczeństwo jazdy na kolejach.

Wiadomości administracyjne. *Now. Wr.* donosi, iż sprawa utworzenia centralnej prokuratoryi państwowej, któraby się zajmowała prowadzeniem wszelkich spraw, związanych z interesami skarbu, została pomyślnie rozstrzygniętą.

— Przy ministeryum sprawiedliwości utworzono dwie komisye, które mają ujednostajnić procedurę cywilną i kryminalną.

— Ministeryum sprawiedliwości opracowało projekt o ustanowieniu odpowiedzialności za otwartą napaść jednej części ludności na drugą. Winni udziału w publicznem zbiegowisku będą skazywani bez względu na pobudki, religijne, plemienne, czy kastowe: na pozbawienie wszystkich praw osobistych i stanu i zesłanie na osiedlenie w Syberyi, albo oddanie do oddziału aresztanckiego. Jeżeli zaś takie zbiegowisko gromadne stanowiło opór wojsku, przywołanemu dla uśmierzenia tłumu, winni podlegają pozbawieniu wszelkich praw stanu i zesłaniu do robót ciężkich na 4—6, albo 6—8 lat. Podżegacze podlegają pozbawieniu wszelkich praw stanu i zesłaniu na osiedlenie w Syberyi, albo oddaniu do oddziałów aresztanckich według 1-ej lub 2-ej kategoryi art. 31 ust. o kar. Dla osoby, która kierowała zbiegowiskiem przy stawianiu oporu sile zbrojnej lub zachęcała do niego — kara według uznania sądu może być podwyższona o jeden, dwa, lub trzy stopnie (*Rusk. Wiedom.*).

Wystawy. Przy zapowiedzianych na rok przyszły wystawach rolniczych i wyrobów drobnego przemysłu, mają być udzielone drobnym wytwórcom zamiast nagród pieniężnych i medali, ulepszone narzędzia rolnicze.

— W Worniach i Rakiszkach odbędą się w lipcu i sierpniu wystawy koni rasy żmujdzkiej.

— Na urządzenie w Odessie wystawy w r. 1894 ministeryum przeznacza 900,000 rs., miasto zaś od siebie 500,000.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюня 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.